



Linda Conrad



Miłosna magia

Tytuł oryginału : *Between Strangers*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niewiarygodne. Wydawało się, że przejechanie następnych dwudziestu mil zajmie mu ponad trzy godziny. I zajęłoby, gdyby nie utknął w zaspie, a policja stanowa nie zamknęła wszystkich bocznych dróg, podobnie jak między stanowej.

Lance Biały Orzeł Steele podkreślił ogrzewanie w swoim nowo nabytym samochodzie z napędem na cztery koła.

Marzył o termosie gorącej kawy. Przypuszczał, że wybraną dwupasmówką sprawnie ominie zamknięty odcinek autostrady między stanowej.

Nie przewidział, że błędzenie w oślepiającej zamieci po oblodzonych drogach lokalnych zajmie mu sześć razy więcej czasu.

W końcu jednak zaczął się zbliżać do celu.

Pomyślał, o ranczu i o tych, którzy tam na niego czekali. Chociaż spóźniony, zdąży na wigilijną kolację.

Przez kilka frustrujących chwil, tam w O'Hare, Lance obawiał się, że ominą go święta na ranczu.

Przyjechał z Nowego Orleanu i zamierzał złapać połączenie lotnicze do Wielkich Wodospadów.

Niestety, zaraz po jego przyjeździe wszystkie loty zawieszono z powodu burz śnieżnych.

Co gorsza, tak samo było na całym Środkowym Zachodzie, a prognozy nie rokowały poprawy sytuacji. Nad Wielkimi Równinami kłębiły się trzy nize niosące obfite opady śniegu.

Na lotnisku w O'Hare koczowały tłumy pogodzone z koniecznością pozostania tam przez kilka dni, ale Lance koniecznie chciał spędzić święta w domu.

Dotykami wyczuwał w kieszeni zimowej kurtki małe pudełeczko z pierścieniem.

Wszystko się uda. Czuł to. Jego życie w końcu potoczy się właściwym torem.

Z łatwością przekonał właściciela agencji wynajmu samochodów, by sprzedał mu mało używanego suva, wydostał się z zatłoczonego lotniska i ruszył w drogę. Formalności związane z zakupem samochodu miał załatwić po świętach.

Śnieg sypał coraz mocniej, ograniczając widoczność. Lance mógł tylko włączyć wycieraczki, co i tak niewiele pomogło.

Nigdy jeszcze nie przeżył śnieżycy o tak wyjątkowym natężeniu. A przecież już od dziesięciu lat jeździł po kraju, uczestnicząc w zawodach rodeo, i nieraz spotkał się z niepogodą.

Kantem dłoni przetarł zamgloną szybę. Odmrażacz i dmuchawa pracowały na okrągło i Lance dziękował Opatrzności za to, że siedzi w ciepłym wnętrzu i nie musi znosić wściekłych porywów lodowatego wichru. W ostatniej chwili zobaczyli ominął o włos masywny, ciemny kształt.

– Niech to diabli! – zaklął, kierując samochód na sąsiedni pas.

Mijając ciemny kształt, zauważył, że to człowiek, skulony pod naporem wiatru i dźwigający duży pakunek owinięty w koc.

W lusterku wstecznym Lance dostrzegł samochód na poboczu drogi i w okamgnieniu zrozumiał, że jego pechowy kierowca wkrótce zamarnie na śmierć.

Przez sześć godzin jazdy nie spotkał żywej duszy. I chociaż bardzo się spieszył, nie mógł pozostawić wędrowca własnemu losowi.

Ludzie powinni się wspierać. Gdyby to jego zasypało, miałby nadzieję, że ktoś zatrzyma się, by mu pomóc.

Nieźle znał się na samochodach, może więc uda mu się uruchomić zepsuty wóz. I wkrótce będzie znów w drodze do domu.

Zatrzymał się i wysiadł, nie wyłączając silnika. Arktyczny wicher targał nim, a lód skrzypiał pod nogami.

Przytrzymał kapelusz, próbując w padającym śniegu dojrzeć samotnego wędrowca. W końcu rozróżnił zbliżającą się, niewyraźną sylwetkę.

Zdumiał się, widząc, że to kobieta.

Jej głowę okrywał bury szal. Dźwigała toból owinięty w stary, wojskowy koc. Podeszła bliżej i w końcu pochwycił jej spojrzenie.

Miała piwne oczy, błyszczące w burzowej szarości, szczupłą twarz i spierzchnięte wargi. Pokryte śniegiem ubranie przemakało z minuty na minutę. Pozbawiona makijażu skóra była gładka, a twarz okalało kilka złocistych loków. Wyglądała jak cierpiący anioł.

Skąd się wzięła sama, na odludziu, w takiej śnieżycy? A może to narkomanka?

Ostrożność nie zawadzi.

– Co z samochodem? – zawołał, starając się przekrzyczeć wicher.

Wciąż jeszcze oddychała ciężko po zmaganiach z wiatrem i z powodu dźwiganego ciężaru.

– Nie mam pojęcia... – wydyszała. – Gaz jest, a akumulator był świeżo naładowany na stacji w Minneapolis. Staął mi na środku drogi.

Zepchnęłam go na bok, ale nie zdołałam ponownie uruchomić. Silnik nie działa.

– Proszę wsiąść do mojego samochodu, zanim zmarznie pani na kość.

Wezmę kluczyki i zajrzę do pani auta.

Kiedy podeszła bliżej, w jej oczach pojawiła się nieufność i wahanie.

– Mam... – wykrztusiła, wyciągając kluczyki i poprawiając swój tobiół.
Mogłaby chyba na chwilę go odłożyć?

Lance zawrócił do swojego auta stojącego na środku pustej drogi i otworzył tylne drzwi.

– Proszę to wrzucić na siedzenie i szybko wsiadać! Rzuciła mu szybkie spojrzenie i potrząsnęła głową.

– Muszę ją trzymać przy sobie, aż się rozgrzeje.

Odwinęła brzeg koca i Lance zobaczył czubek wełnianej czapeczki prawie całkowicie zakrywającej jasne loczki.

O mało nie upadł, chcąc usadowić kobietę z dzieckiem na przednim siedzeniu w zasięgu ogrzewania.

Jakie złe duchy zdołały je przygnać w ten zapomniany przez Boga i ludzi zakątek w taką okropną pogodę?

Choć lekko spłoszona i nieufna w stosunku do nieznanego, Marcy Griffin mogła tylko wdrapać się na przednie siedzenie terenowego auta.

Jeszcze kwadrans i mała przemarznie zupełnie i dostanie zapalenia płuc. Nieznajomy mógł się okazać nie wiadomo kim i Marcy nie ufała mu, ale nie miała wyboru.

Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu zatrzasnął drzwi, żeby nie uciekało ciepło, i poszedł obejrzeć jej samochód.

Dziecko wciąż spało spokojnie.

Gdyby tylko Angie zdołała przespać tę ciężką próbę.

Marcy wiedziała, że córeczka jest głodna, zmarznięta i zmęczona.

Z całego serca pragnęła odmiany losu, przede wszystkim ze względu na dziecko. Na szczęście obie żyły.

I tak czy inaczej wszystko zmierzało ku lepszemu, a to było teraz najważniejsze.

Dziesięć minut później, kiedy Marcy wróciło czucie w palcach u rąk i nóg, kowboj otworzył tylne drzwi i zaczął mocować fotelik dla Angie.

– Miałaś rację – powiedział. – Twój samochód jest do niczego.

Przypuszczam, że pękł cylinder.

– Jeżeli mamy jechać z tobą, czy mógłbyś zabrać rzeczy Angie z bagażnika?

– Jakie rzeczy?

– Pieluchy, jedzenie, butelki... – Marcy nie widziała wyrazu twarzy mężczyzny pod rondem kapelusza, ale wyobrażała sobie grymas niezadowolenia.

– Zaraz przyniosę – mruknął. – Posadź tymczasem małą z tyłu.

Angie umościła się wygodnie w foteliku, ani na chwilę nie otwierając oczu.

Tak długo była spokojna, że zaniepokojona Marcy sprawdziła ciepłość jej czoła. Wydawała się w normie.

Kowboj błyskawicznie zapakował ich rzeczy.

Kiedy ruszyli, Marcy zamknęła oczy i w myślach zmówiła dziękczynną modlitwę.

Spod przymkniętych powiek obserwowała profil mężczyzny skupionego na prowadzeniu samochodu po śliskiej nawierzchni.

Co to za człowiek?

Zsunął kapelusz do przodu, żeby lepiej widzieć. Zauważyła, że jest wysoki, barczysty i mocno zbudowany.

Zdecydowanie bardzo męski. Tym lepiej.

Nie grozi im już niebezpieczeństwo.

Przypatrując mu się uważniej, wypatrzyła pod kowbojskim kapeluszem czarne jak smoła, trochę zbyt długie włosy i surowe rysy. Widoczna nawet w tak słabym oświetleniu opalenizna, wysokie kości policzkowe i rzymski profil nosa wskazywały na rdzennego Amerykanina.

Dlatego tak bardzo zdziwiły ją jego pierwsze słowa.

– Jestem Lance Steele – powiedział, nie patrząc na nią. – A ty?

– Bardzo przepraszam... Nie przedstawiłam się. Marcy Griffin. Moja córeczka ma na imię Angelina, ale nazywam ją Angie. Ma dziewięć miesięcy.

Kącik ust drgnął mu zbyt lekko, by można było nazwać to uśmiechem.

– Angie... Jak ona się czuje? Mam nadzieję, że nie jest chora?

– Nie, wszystko w porządku. Tylko to był dla niej długi, męczący dzień.

– Dokąd się wybieracie? I co to za pomysł zabierać dziecko... – Skrzywił się i chyba ledwo zdołał powstrzymać przekleństwo.

Odetchnął głęboko i odzyskał panowanie nad sobą.

– Przepraszam, ale nie powinniście być teraz tutaj. Co z twoim mężem? Co powie na to wszystko?

Wspomnienie Mike'a sprawiło, że Marcy zapomniała o ostrożności wobec obcego, o którym wciąż nic nie wiedziała.

– Gdyby mój były mąż kiedykolwiek przyjął do wiadomości fakt, że został ojcem i zatroszczył się o swoje dziecko, to przypuszczam, że nie pochwaliby niczego, co zrobiłam.

Skrzyżowała ręce na piersi i wpatrzyła się w niegościnnie krajobraz.

No cóż, w jednej chwili powiedziała więcej niż w ciągu kilku ostatnich miesięcy. I dużo bardziej jadowicie, niż to było potrzebne.

Z pewnością mogła się postarać spokojniej wyrażać swoje zdanie.

– Przepraszam – odezwała się po chwili z westchnieniem. – Skąd miałeś wiedzieć. Jesteśmy same. Staram się o pracę. Mam dużą szansę ją dostać, ale muszę być na miejscu pierwszego stycznia. Wydawało mi się, że czasu jest mnóstwo, ale...

– Jak to daleko? – przerwał jej.

– Przy normalnej pogodzie niedaleko. Jedziemy do Cheyenne w Wyoming.

– Znam to miejsce. Spędziłem tam sporo czasu.

– Mieszkasz tam? Może tam właśnie jedziesz?

Zaprzeczył niemal niewidocznym ruchem głowy.

– Nie. Mój dom to ranczo przy Wielkich Wodospadach i właśnie tam jadę.

Słowo „dom” wypowiedział w charakterystyczny sposób. Marcy nie wątpiła, że czeka tam na niego jakaś szczęśliwa kobieta i nie pytała o nic więcej.

Przez wycie wichury przebił się głośny trzask.

Lance wyhamował ostrożnie tuż przed pniem olbrzymiej sosny zwalonej w poprzek drogi.

Przez chwilę siedzieli wstrząśnięci.

Przez przednią szybę widać było tylko pień i grube sosnowe gałęzie.

Przez kilka niewiarygodnie długich sekund trwała zupełna cisza.

– Zostań tutaj. Spróbuję oczyścić drogę – mruknął w końcu Lance.

– Czy to całe drzewo?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To tylko cholernie duża gałąź. Poradzę sobie. – Wsiadł i ze złością zatrzasnął za sobą drzwi.

Wiedział, że nie powinien się wyładowywać na swojej towarzyszce. Nie była niczemu winną.

Wolałby wprawdzie nie spotkać jej na swojej drodze. W jego planach nie było miejsca na rozwiązywanie cudzych problemów.

Ale jej słowa o mężu, który porzucił dziecko, zanim się urodziło, wzburzyły go.

Znał wiele podobnych sytuacji.

Mężczyźni dobrze się bawili, a kiedy sytuacja stawała się poważna, znikali z horyzontu.

Ta świadomość wcale nie ułatwiała wysłuchiwania słów gorzkiej prawdy. Nikczemne zachowanie. Nic na świecie nie mogłoby go skłonić do porzucenia kobiety i dziecka.

Nagle poczuł się bardzo związany z Marcy i Angie. Widać przeznaczone mu było dostarczyć je bezpiecznie na przystanek autobusu.

Nasunął kapelusz na czoło i wyszedł z ciepłego wnętrza w arktyczną wichurę.

W ciągu dnia temperatura spadła o ponad dwadzieścia stopni. Próbował nie oddychać zbyt głęboko w lodowatym powietrzu świadomy, czym to grozi płucom.

Znał dobrze wszystkie niebezpieczeństwa długiej i ciężkiej zimy w północnej Montanie.

Lodowaty ziąb przenikał go na wskroś.

Zorientował się od razu, że samochód nie da rady ominąć leżącej gałęzi. Była bardzo gruba, silnie rozgałęziona i obsypana ciężkim śniegiem.

Nie pozostawało nic innego jak ściągnąć ją z drogi.

Spróbował szarpnąć i zrozumiał, że nie zdoła jej ruszyć. Tęsknie pomyślał o pile łańcuchowej.

– Mogę w czymś pomóc? – Marcy pojawiła się obok.

– Wracaj do auta, jest strasznie zimno! – zawołał, przekrzykując wiatr.

– Nie dasz rady tego ruszyć. Nie można jej zepchnąć samochodem?

– Nie – odpowiedział, ale jej pytanie poddało mu pewien pomysł.

Przy kupnie auta zauważył obok koła zapasowego przewody rozruchowe, składaną łopatę, linę i gruby koc.

– To się może udać – mruknął do siebie, otwierając bagażnik.

Marcy znów pojawiła się obok niego.

– Co robisz?

– Nie dam rady jej zepchnąć, ale może uda mi się ją odciągnąć na bok na tyle, żebyśmy zdołali przejechać – wyjaśnił.

Podobnie jak większość nowych samochodów, ten także nie miał porządných stalowych zderzaków. Miał za to mocny hak zainstalowany na ramie pod tylnym zderzakiem.

Lance zerknął na Marcy i zauważył, że drży.

Jej znoszony płaszcz nie chronił wystarczająco przed chłodem. Musiała zostać w samochodzie.

– Zawróć wóz – poprosił – a ja przymocuję linę i sprawdzę, czy trzyma.

– Jasne, już idę.

Ulżyło mu, kiedy spostrzegł, że Marcy jest już w ciepłej kabinie. Przynajmniej nie odmrozi sobie stóp.

Pokazał jej gestem, jak ustawić samochód. Sprawdził zamocowanie liny do gałęzi i haka i dał znak, by ruszyła. Uchyliła okno od strony

kierowcy, by słyszeć jego polecenia. Spróbowała ruszyć, ale koła ślizgały się po lodzie i nie mogła sobie poradzić.

– Ja spróbuję! – krzyknął.

Zamiast przesiąść się na siedzenie obok, Marcy wysiadła i obeszała samochód, by wsiąść z drugiej strony.

Kiedy uniosła dłonie, chroniąc twarz przed przejmującym zimnem, po raz pierwszy zwrócił uwagę na jej rękawice.

A właściwie na ich resztki.

Początkowo myślał, że nosi grube wełniane rękawiczki. Dopiero teraz zauważył palce wystające przez dziury w cienkim materiale. Z pewnością je odmroziła.

Marcy wdrapała się do środka, a on usiadł za kierownicą.

Szybko odciągnął gałąź z drogi.

Po chwili lina została zwinięta i znalazła się w bagażniku, a samochód stanął przodem do kierunku jazdy.

Lance wyminął gałąź i zatrzymał się. Starając się zachować spokój, odwrócił się do swojej towarzyszki.

– Marcy, pokaż mi ręce.

– Co takiego? – Spojrzała na niego zdumiona. Wyciągnął do niej ręce i czekał.

Posłusznie podała mu dłonie, ale wyglądała na nieufną i zmieszaną.

Nie chciał jej przestraszyć, ale sprawa była poważna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marcy nie przypuszczała, że tak trudno będzie jej pozwolić, by Lance obejrzał jej dłonie. W końcu odkąd ostatnio dotykał jej mężczyzna, upłynęło osiemnaście miesięcy.

Spojrzała w górę, próbując ocenić szczerłość jego intencji, i zabrakło jej tchu.

W jego oczach migotały iskierki zainteresowania. Musiała walczyć ze sobą, by zignorować to, co poczuła do niego.

W końcu podała mu dłonie i beznamiętnie obserwowała kontrast między jego opaloną, a jej zupełnie białą skórą.

Lance, nachmurzony, też przyglądał się ich dłoniom.

– Powinnaś szybko zdjąć te mokre rzeczy.

– Co takiego? – Przeniknął ją dreszcz podniecenia.

Lance nie czekał. Ściągnął jej mokre rękawiczki i rzucił przed grzejnik, ale wciąż nie wypuszczał jej dłoni.

Wspaniale. Dreszcze przeszywały teraz jej ramiona i zbiegały się u nasady kręgosłupa, rozgrzewając ją i uwrażliwiając na najdelikatniejszy nawet dotyk.

Tylko palce miała wciąż skostniałe z zimna.

Zapragnęła, by ta sytuacja trwała. Nigdy wcześniej dotyk mężczyzny nie wywarł na niej takiego wrażenia.

Ale jego następny gest wzburzył jej krew i przyprawił o zawrót głowy. Lance z czułością uniósł jej palce do ust i rozgrzewał je ciepłem własnego oddechu.

Gorąco ogarnęło ją całą. W obronie przed nadchodzącym szaleństwem Marcy zadrzała i szarpnęła się.

– Daj spokój. Pozwól, żebym cię rozgrzał.

Ton głosu Lance'a był bardziej erotyczny niż słowa, ale jego dotyk rozpalał w niej płomień.

– Mogłaś odmrozić palce – dodał surowo.

Marcy nie mogła dłużej patrzeć mu w oczy. Ta poufałość była nie do zniesienia.

– Wszystko w porządku – powiedziała, rozcierając ręce i próbując przywrócić w nich krążenie.

– Nie rób tak. – Znowu sięgnął po jej dłonie. – To najgorsze, co można zrobić przy odmrożeniu.

Kiedy ich palce znów się zetknęły, umilkł i usłyszała, jak szybko zaczerpnął tchu. Zastanawiała się, czy czuje to samo co ona. Unikała wzrokiem ich złączonych palców i jego oczu.

Po długiej chwili niewygodnego milczenia, Lance umieścił jej dłonie przy wylocie dmuchawy,

– Trzymaj je tutaj. Mogą swędzieć, ale w ten sposób bezpieczniej odtają.

Lance usiadł prosto i uruchomił silnik.

– Przypuszczam, że w ciągu godziny dotrzemy do przystanku autobusu. – Jego głos brzmiał szorstko i sucho. – To znaczy, jeżeli nie napotkamy innych przeszkód.

Nie odzywali się więcej i w samochodzie było słychać tylko szum dmuchawy i odgłos silnika zmagającego się z wichurą i ślizgawicą.

Marcy nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Siedziała milcząca, próbując sobie uświadomić, co właściwie zdarzyło się między nimi.

Wróciła do rzeczywistości, słysząc, że Angie wierci się w foteliku.

Odpięła pas i odwróciła się do niej, wdzięczna, że dziecko oderwie jej myśli od dziwnej reakcji na dotyk Lance'a.

– Co z małą? – zapytał. – Wszystko w porządku?

– Na razie tylko się obudziła, ale przypuszczam, że wkrótce zacznie głośno wyrażać swoje niezadowolenie.

– Niezadowolenie?

Angie otworzyła oczy i Marcy przeszła do niej na tylne siedzenie.

Z dźwięków, jakie mała wydawała, wynikało, że jest głodna i ma mokro.

– Hej! – Lance przekrzyczał popłakiwanie Angie i wycie wichury. – Mam się zatrzymać?

– Możesz jechać, bo i tak ledwo się posuwamy. Zmienię jej pieluchę i dam pić, a z karmieniem poczekam na cieplejsze miejsce.

– Jeżeli tylko ona się zgodzi... Lance skupił się na prowadzeniu wozu.

Wciąż wstrząśnięty swoją dziwaczną reakcją na dotyk skóry Marcy i niezrozumiałym blaskiem w jej oczach, był coraz bardziej przekonany, że pani Griffin zaczarowała go.

Ufa mu. Gorączkowo usiłował sobie przypomnieć inną sytuację, kiedy ktoś mu tak zaufał.

Jedyne, co przyszło mu do głowy, to dzień, kiedy Buck złożył na jego barkach odpowiedzialność za całość programu rodeo. To chyba znaczyło, że mu ufał...

Lance nigdy nie potrafił zrozumieć kobiet. A ta tutaj wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana niż inne.

Choćby córka Bucka, Lorna. Była dobrym kumplem. Chętnie przejechałaby z nim konno przez całą Montanę. Czasem zabierał ją do kina w samotne, sobotnie popołudnie.

Lorna była spokojna i przewidywalna. Lance sądził, że przyjmie od niego pierścioneł i będzie dobrą żoną.

Ale przy Lornie nigdy nie czuł takiego żaru i oszołomienia zmysłów, jakiego doświadczył, dotykając dłoni Marcy.

Nie pamiętał tego uczucia gwałtownego pożądania ani z dawnych dni, jeszcze zanim zamieszkał na ranczu, a z całą pewnością nie doświadczał go w towarzystwie kobiety, którą uważał za osobę bliską.

Co do Lorny, to miał zamiar poczekać, aż się zaręcą, zanim przekroczy granice przyjaźni.

Był pewien, że ona jest tego samego zdania.

W związku z życiową partnerką nie chciał stawiać seksu na pierwszym miejscu.

Nagle pragnienie, by wziąć nieznaną w ramiona i całować do utraty tchu, było zupełnie nieoczekiwane i niechciane. To te ekstremalne warunki musiały wpłynąć na wzmocnienie normalnej reakcji mężczyzny na piękną kobietę.

Nie chciał się nad tym zastanawiać. Najlepiej będzie, jeżeli z nią porozmawia i spróbuje się zaprzyjaźnić. Rozluźnić atmosferę. Spędzą razem nie więcej niż kilka godzin.

Dobry plan. Gdyby tylko jego ciało chciało współpracować.

Marcy uspokoiła małą i wróciła na przednie siedzenie.

Lance był zmęczony i głodny, a Marcy wyglądała, jakby od tygodnia nie zjadła przyzwoitego posiłku.

– Za pół godziny powinniśmy dotrzeć do bazy autobusów. – Popatrzył na nią przez chwilę.

Uśmiechnęła się do niego. Naprawdę się uśmiechnęła. Jakby w ciemnym pokoju zabłysło światło.

Pod wpływem nagłej fali gorąca odwrócił się i spojrział na drogę.

Tak było bezpieczniej. Z różnych przyczyn.

– Skąd tak dobrze znasz tę okolicę? – spytała. – Jesteś stąd?

Tak lepiej. Powinni porozmawiać. Przynajmniej nie będzie się jej przyglądał.

– Nie – odpowiedział. – Większą część dorosłego życia spędziłem na arenach rodeo. Szalone tempo. Zawsze w drodze. Ale po kilku latach poznaje się szlaki i zyskuje przyjaciół.

– Rodeo? Czym się zajmujesz? – Pytanie było zabarwione zdumieniem, ale brzmiało w nim więcej podziwu niż niechęci.

Nigdy nie wiedział, jaka będzie reakcja, gdy wspominał o swojej pracy.

Wiele osób nie miało pojęcia, co się dzieje na rodeo. Inni uznawali to za zajęcie gorszej jakości. A jeszcze inni zbyt łatwo ulegali urokowi czegoś, co w końcu było tylko pracą.

– Przez kilka pierwszych lat ujeżdżałem byki – przyznał. – Potem mustangi.

– Super! To fantastyczne! Ale chyba niebezpieczne?

– Porozbijałem się i połamałem parę razy kilka kości. Trzeba wiedzieć, kiedy przestać, zanim się załatwisz na dobre.

– Rzuciłeś to? Już nie występujesz? Chyba to właśnie zrobił?

– Nie występuję na arenie. Mam lepsze zajęcie.

– Ranczo w Montanie?

– Ranczo nie należy do mnie. Ja tylko tam pracuję. Zawahała się przez chwilę.

– Ach tak – rzuciła w końcu. – A czym się zajmujesz?

Nie wiedział, czy Marcy była naprawdę zainteresowana, ani czy miała chociaż mgliste pojęcie, na czym polega jego praca. Ale czekała na odpowiedź.

A on zdecydował właśnie, że chciałby, żeby zostali przyjaciółmi. Mówił więc dalej:

– Prowadzimy hodowlę na szeroką skalę. Owce. Bydło. Konie do pokazów i byki o doskonałym pochodzeniu. Zajmujemy się też wieloma innymi dziedzinami. Pracuję u ojca mojego przyjaciela przy kontraktowaniu inwentarza.

– Kontraktowaniu?

– Tak. Dostarczamy zwierzęta na rodeo. Na razie jeszcze sami nie organizujemy pokazów. Ale z czasem i tym się zajmiemy.

– To znaczy, że hodujecie te narowiste konie i byczki?

Pytanie Marcy rozbawiło go.

– Zajmujemy się czymś więcej. Kupuję zwierzęta na aukcjach, analizuję ich pochodzenie i ustaliam zasady krzyżowania. Potem poddaję je specjalnemu treningowi.

– O rety, nie miałam pojęcia, że to takie skomplikowane! Od dawna się tym zajmujesz?

– Nie... – Potrząsnął głową.

– Rozumiem.

Coś w jej tonie mówiło mu, że ma jeszcze inne, niewypowiedziane pytania.

Mógł tylko mówić dalej. Może przypadkiem wyjaśni jej wątpliwości. Poza tym rozmowa odpędzała senność, a czas dzięki niej płynął szybciej.

– Ranczo jest teraz moim domem. To wspaniale nie musieć być ciągle w drodze.

– Ale przecież właśnie jesteś w drodze! Podróż w interesach?
– Na temat swojej wyprawy miał wciąż jeszcze mieszane uczucia. Żal, ulga, obietnica nowego życia. Nie był pewien, czy chce o tym mówić.
– Nie – mruknął. – Byłem na pogrzebie babki w Nowym Orleanie. Teraz jadę do domu i przy odrobinie szczęścia zdążę na święta.
– Czy twoja rodzina obchodzi święta tradycyjnie?
– Właściwie teraz, po śmierci babki, nie mam już rodziny. Po co właściwie tyle mówił o sobie nieznanym?
– Stantonowie z Montatny są dla mnie bardziej rodziną niż tylko pracodawcami i przyjaciółmi.

Znowu się rozgadał. Co się z nim dzieje?

– Ale nie czeka na ciebie żona i dzieci?

A więc czekała, żeby zadać to właśnie pytanie. Większość kobiet pyta o to nowo poznanego mężczyznę.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni. Chciałbym, żeby mój dom był nim nie tylko z nazwy.

– Więc jesteś zaręczony?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze nie, ale mam zamiar oświadczyć się Lornie Stanton po tradycyjnej kolacji wigilijnej. Na razie nie jestem zaręczony.

– Ale Lorna jest twoją dziewczyną?

– Przypuszczam, że tak właśnie byś to nazwała – przyznał z wahaniem
– ale ja nigdy nie myślałem o niej w ten sposób. Mamy wiele wspólnego. Powinniśmy się pobrać. Pasujemy do siebie.

– Hm. A kochacie się?

– Tak daleko jeszcze nie doszliśmy. Ale wierzę, że najlepsze małżeństwa to te, w których miłość rozwija się z czasem. Może trochę późno zaczynam, ale wciąż mamy przed sobą jakieś pięćdziesiąt lat.

– Chwileczkę – Marcy uniosła dłoń. – Zamierzasz prosić tę kobietę o rękę, ale żadne z was nie jest zakochane? Jesteś pewien, że pasujecie do siebie pod każdym względem?

– Jeżeli myślisz o sypialni, to nie jestem pewien jak się sprawy ułożą. Ale szanujemy się wzajemnie. To wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

Marcy potrząsnęła głową z niedowierzaniem. On chyba nie mówił poważnie!

Dobrze wiedziała, jak trudnym do zrealizowania snem jest miłość, a ten mężczyzna nie miał nawet tak kruchej podstawy jak wzajemna fascynacja.

– Powiedz mi – zapytała z wahaniem – czy Lorna spodziewa się twoich oświadczeń?

Zastanowił się przez chwilę.

– To miała być niespodzianka. Wydaje mi się, że tak będzie bardziej romantycznie. Kobiety chyba to lubią?

Marcy przygryzła wargę, żeby się głośno nie roześmiać.

– Niektórych spraw lepiej nie trzymać w tajemnicy, wiesz?

Popołudniowa szarość sprowadziła nastrój melancholii. Marcy pożałowała, że nie zna Lance'a trochę lepiej.

Zmierzał ku przepaści i chciałaby móc go uchronić przed twardym lądowaniem.

Ale on nie zwracał uwagi na jej rozterki.

– Kupiłem bardzo ładny pierścionek zaręczynowy w Nowym Orleanie. To antyk. Opowiem ci, jak go zdobyłem. To niesłychana historia.

Przejechali zakręt i Lance się uśmiechnął.

– Opowiadanie będzie musiało poczekać. Sypie i jeszcze nic nie widać, ale przystanek autobusowy jest już bardzo blisko. Jeszcze tylko kilka minut.

Kelnerka przyniosła wysokie krzeselko dla Angie. Marcy rozebrała małą z kombinezonu, zrzuciła płaszcz i usiadła obok córeczki.

Było mnóstwo ludzi i czekali na miejsca przez ponad pół godziny. Kierowcy ciężarówek i autobusów, policjanci stanowi i rodziny wyjeżdżające na święta przeczekiwali tu burzę śnieżną.

– Mamy kilka dań – powiedziała kelnerka – ale nie podajemy według karty. Trzymamy zapasy na następne dni.

– Nie ma sprawy, zjemy to, co jest. Prosiłabym tylko o trochę mleka dla małej.

– Zaraz podam, ale na jedzenie trzeba poczekać. Nie przeszkadza wam to?

Marcy zaprzeczyła ruchem głowy. Sięgnęła do torby i wydobyła słoiczek z jedzeniem dla dziecka, paczkę krakersów i kubeczek Angie.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – pocieszyła małą patrzącą na nią szeroko otwartymi oczami. – Tu jest ciepło, bezpiecznie i na pewno znajdę jakiś sposób, żebyśmy dotarły do Wyoming.

Podawała Angie krakersa i rozejrzała się za Lance'em, który poszedł zatankować samochód.

Kroczył teraz przez salę jak człowiek, dla którego nie istnieją żadne przeszkody. Nie było kobiety, która nie obejrzałaby się za jego zgrabną sylwetką, jeszcze podkreśloną przez wąskie dżinsy.

Marcy po raz pierwszy mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

Kapelusz trzymał w dłoni, z ramienia zwisała mu ciężka skórzana kurtka, a jego surowa męska uroda

Wprost biła w oczy. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu i związane rzemieniem. Opalenizna doskonale współgrała z kraciastą koszulą.

Pochwycił jej wzrok i odpowiedział spojrzeniem hebanowych oczu. Szeroki nos musiał być kiedyś złamany.

Jej uwagę przyciągnęły pełne wargi o arogancko wygiętych kącikach.

Obserwując je, poczuła suchość w ustach i strużkę potu sunącą w dół między piersiami.

Usiadł naprzeciwko niej.

– Nie można się stąd wydostać. Śnieżycy zablokowała drogi. Co teraz zrobisz?

Marcy wyprostowała się.

– Pojadę autobusem do Cheyenne. Nawet jeżeli trzeba będzie tu poczekać kilka dni, to i tak zdążę przed pierwszym styczniem.

Lance potrząsnął głową.

– Rozmawiałem z policją stanową. Nie otworzą dróg przed końcem tygodnia. Czy bardzo ci zależy żeby dojechać na czas?

– Kilka dni spędzonych tutaj i kupno biletu pochłoną moje oszczędności. Ta praca jest moją ostatnią nadzieją, a po pierwszym już jej nie dostanę – odpowiedziała szczerze.

Skrzywił się.

– Lepiej pomyśl o czymś innym, bo nie masz szans, żeby się stąd szybko wydostać.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Ale... – Marcy nie chciała się rozplakać. To nie mogła być prawda. Zanim odważyła się zaufać głosowi, zaczerpnęła tchu i odwróciła się do małej.

– Nie przesadzam. Jeżeli nie dostanę tej pracy, nie będziemy miały dokąd pójść. Nie wiem, co robić.

Lance uniósł brew, ale zapytał przyjaźnie:

– Co to za praca?

– Przyjaciel, zarządca hotelu, którego dziećmi opiekowałam się czasami, przedstawił mnie bogatym rodzicom dwójki dzieci w wieku szkolnym. Doskonale się dogadujemy, a dzieciaki przepadają za Angie. Kilka tygodni temu mój przyjaciel dowiedział się, że ci ludzie wyjeżdżają na pół roku do Europy i szukają opiekunki do dzieci na ten czas. Ale decyzję chcą podjąć już pierwszego stycznia, żeby mieć czas na załatwianie paszportów i wiz. To w sam raz dla mnie. Angie też może ze mną pojechać.

– Chcesz podróżować z dzieckiem przez sześć miesięcy? – Lance nie mógł sobie wyobrazić nic gorszego.

Marcy spojrzała na niego wielkimi oczami pełnymi łez i poczuł ucisk w sercu.

Bez płaszcza i szala była piękną dziewczyną. Miękkie jasne włosy okalały delikatną twarz w kształcie serca. A dołeczki, mały nosek i długie, wywinięte rzęsy były wprost urocze. Całości dopełniał aksamitny głos i wspaniałe ciało.

– Tak – odpowiedziała. – Czyż to nie fascynujące? Tylko pomyśl, tyle ciekawych miejsc i nowych wrażeń. Marzę o tej pracy!

Jego zdaniem to koszmar. Całe miesiące w podróży.

Nawet widok jej wielkich smutnych oczu i dziecięco lnianych włosów nie mógł go skłonić do uznania tej pracy za wymarzoną.

Widać bardzo się różnili.

Chłopcy zazwyczaj marzą o podróżach i przygodach, ale najgłębszym pragnieniem Lance'a był prawdziwy dom i poczucie przynależności. Dzieciństwo upłynęło mu na ciągłych wędrówkach pomiędzy bazami wojskowymi. Nie szukał przygód, chciał mieć dużą rodzinę i własne miejsce na świecie.

Do tej pory życie układało mu się inaczej.

Teraz był o krok od zrealizowania swoich marzeń, ale nie mógł patrzeć na pełną nadziei twarz Marcy.

Wiedział, że czeka ją ogromne rozczarowanie.

Odwrócił się i poszukał wzrokiem kelnerki.

– Nie bardzo masz szansę, jeżeli pogoda się nie zmieni – odezwał się, nie patrząc na nią. – Na razie jest coraz gorzej.

– Może się poprawi – odpowiedziała miękko. Kątem oka widział, jak nerwowo przekłada rzeczy córeczki. Wyglądała jak osoba zagubiona, która nie wie, dokąd się zwrócić.

Lance kiwnął na kelnerkę i odwrócił się, gdy Marcy odkręciła mały słoiczek z jedzeniem dla dziecka, a mała wyciągnęła po niego rączkę.

– W porządku, Angie – zapewniła ją cichutko Marcy. – Wszystko będzie dobrze.

Napełniła łyżeczkę i skierowała ją ku otwartej buzi dziecka. Więcej papki znalazło się na buzi niż w buzi.

Marcy karmiła małą dalej, a Lance przyglądał się urzeczony.

Loczki małej miały identyczny kolor jak włosy jej matki. Teraz jedzenie było nie tylko rozmazane na całej buzi, ale również na włosach.

Uśmiechnął się, gdy Marcy westchnęła, próbując powstrzymać małą przed wpychaniem paluszków do buzi. Cały ten obrazek poruszył w nim jakąś nieznaną strunę.

Kelnerka postawiła przed nimi wodę i szklankę mleka.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale mamy tu zupełny dom wariatów.

Marcy zaczęła rozmawiać z kelnerką, a jemu coś przyszło do głowy. Że też wcześniej o tym nie pomyślał! Mógł dać Marcy pieniądze na powrót do domu i rozpoczęcie nowego życia. Na pewno ma jakąś rodzinę. W ten sposób nie będzie się musiał martwić, że je tu zostawia i odjeżdża do Montany.

Doskonały pomysł, myślał zadowolony z siebie. Dobry sposób na wydanie części pieniędzy zarobionych przez długie lata spędzone na arenach rodeo.

Zapłaci za ściągnięcie i naprawę jej zepsutego samochodu. Całe szczęście, że o tym pomyślał.

Chciał jej pomóc. I oszczędzić rozczarowania związanego z utratą możliwości odbycia podróży dookoła świata.

– Och, kogo widzimy! Biały Orzeł Steele! – Kelnerka odwróciła się od Marcy i z bloczkiem w ręku czekała, by przyjąć jego zamówienie. – Nie poznałam. Co słychać?

Lance zupełnie jej nie pamiętał. Ale też nie był w tej okolicy prawie od roku.

– W porządku – odpowiedział, na próżno przetrząsając zakamarki pamięci. – Wycofałem się z zawodów. Nie byłoby mnie tutaj gdyby nie śnieżyca.

Kelnerka roześmiała się i wskazała na plakietkę z imieniem.

Dzięki Bogu, nie należała do grona tych, z którymi spędził kilka przypadkowych nocy. Natomiast miło mu się z nią rozmawiało. Miała na imię Harriet.

– Wygląda na to, że nikt stąd nie wyjedzie przynajmniej przez kilka dni. Pracownicy bazy autobusowej pracują dwanaście godzin na sześć odpoczynku.

Te słowa przypomniały mu o czymś.

– Słuchaj, Harriet, skoro wspomniałaś o odpoczynku, to czy znajdzie się miejsce, żeby moja znajoma i jej mała przespały się chociaż kilka godzin?

Harriet spojrzała na Marcy i dziecko.

– Mężczyźni śpią po kolei na pryczach kierowców. Ale to chyba nie najlepsze miejsce dla kobiety.

Zatroskana widocznymi oznakami wyczerpania i granatowymi cieniami pod oczami Marcy, potrząsnęła głową.

– Zjedzcie, a potem położę was w pokoju służbowym.

Marcy rzuciła Lance'owi krótkie, gniewne spojrzenie. Przestraszył się, że odrzuci propozycję Harriet. Ale potem niepewnie sięgnęła po serwetkę i, wycierając umazaną buzię małej, ponownie rozważyła kłopotliwe położenie.

– Bardzo dziękuję – odezwała się do kelnerki. Całe szczęście, pomyślał Lance. Harriet zaopiekuje się nimi i będzie mógł wyjechać bez poczucia winy.

Harriet wsunęła bloczek do kieszeni, obiecując przynieść im szybko coś gorącego i znikła między zatłoczonymi stolikami.

– Nazwała cię Białym Orłem – odezwała się Marcy, kiedy znów znaleźli się przy stoliku sami. – Myślałam, że masz na imię Lance.

Czy właśnie dlatego rzuciła mu to gniewne spojrzenie?

– Nazywam się Lance Biały Orzeł Steele – przyznał. – Kiedy pierwszy raz brałem udział w zawodach, organizatorzy uznali start rdzennego Amerykanina za atrakcję.

Marcy skinęła głową z nikłym uśmiechem.

– A więc jesteś rdzennym Amerykaninem. Lance nie był przekonany, czy jest tym zbulwersowana, czy tylko zaciekawiona.

– Moja matka pochodziła z plemienia Navaho – powiedział szczerze, tonem wypranym z emocji. – Z kolei rodzina ze strony ojca, Steele, to biali ludzie.

Marcy, szeroko uśmiechnięta, szykowała się do zadania następnego pytania, kiedy Angie z hałasem upuściła łyżeczkę na podłogę.

– No co, kochanie? Myślałam, że już nie chcesz jeść?

Marcy wstała i wyjęła córeczkę z wysokiego fotelika.

– Idziemy się umyć – rzuciła ponad jej ramieniem. – Zaraz wracamy.

Lance obserwował, jak idzie przez zatłoczoną salę. Do diabła, pomyślał, ależ to ponętny widok.

Pełne biodra Marcy w dopasowanych dżinsach kołysały się w takt niespiesznych kroków.

Kiedy znikła za rogiem, uświadomił sobie, że, obserwując ją, zupełnie wstrzymał oddech.

To normalne, że podoba mi się atrakcyjna kobieta, uspokajał sam siebie. Ale ciepłe uczucia, jakich doświadczał na widok jej uśmiechu, były doprawdy niezwykle.

Miał ochotę dokończyć rozpoczętą rozmowę. Ciekawiło go, co myśli o jego pochodzeniu. Spotkał się już z tak różnymi ocenami, że nie bardzo rozumiał, dlaczego zdanie Marcy było dla niego tak bardzo istotne.

No cóż. Po prostu musi przez to przejść. Jutro rano będzie w drodze do Montany. A Marcy Griffin i jej mała córeczka staną się tylko miłym, ale odległym wspomnieniem.

Marcy upuściła łyżkę do talerza i zmagła się z opadającymi powiekami. Nie pojmowała, skąd to potworne zmęczenie.

Czyżby dawało o sobie znać długotrwałe przemarzenie?

– Wyglądasz tak, jakby za chwilę głowa miała ci wpaść do talerza – odezwał się Lance. – Chcesz się od razu położyć?

Był dla nich taki dobry. Najtroskliwszy i najdelikatniejszy z mężczyzn, jakich poznała w życiu.

Gdyby tylko zgodził się zawieźć je do Cheyenne, żeby zdążyły przed pierwszym styczniem.

Wierzyła, że zdoła go do tego namówić.

– Nie wyjedziesz bez nas, prawda? – zapytała.

Lance nachmurzył się i Marcy po raz pierwszy zauważyła, że potrafi wyglądać groźnie.

Nigdy przedtem nie spotkała prawdziwego Navaho i zawarcie znajomości z jednym z nich wywarło na niej duże wrażenie.

Rdzenni mieszkańcy Ameryki zawsze ją interesowali.

– Spróbuję się przespać kilka godzin, zanim wyjadę – odpowiedział. – Ale wy ze mną nie pojedziecie.

Jego wzrok złagodniał, kiedy dotknął jej ramienia.

– Najlepiej będzie, jeżeli po ustaniu śnieżycy wrócić do domu. Dam ci pieniądze, żebyście coś miały na początek.

W jednej chwili Marcy ogarnęła wściekłość. Jak śmiał do niej mówić w ten sposób! Bystrzejszy obserwator zauważyłby, że to, co brała za dobroć, mogło być podyktowane chęcią decydowania.

Z drugiej strony to chyba raczej ona chciała nim pokierować.

Lance próbował jej pomóc. Tak jak umiał.

Ale żeby ofiarowywać jej pieniądze?! Był arogancki i irytujący.

Wzięła głęboki oddech.

Był także jej jedyną szansą na wydostanie się stąd.

– Posłuchaj – odezwała się najspokojniej jak mogła – myślałam, że zrozumiałeś. Angie i ja nie mamy domu, dokąd mogłybyśmy wrócić.

Możemy tylko jechać do Wyoming.

– Zamieszkaj z rodzicami, zanim staniesz na własnych nogach. A ten łajdak, twój były mąż, z pewnością powinien ci płacić, jeżeli nie chce się opiekować małą.

Marcy sięgnęła do torby po zabawkę dla dziecka, zastanawiając się, jak sformułować to, co chciała powiedzieć.

Musi go skłonić, żeby je ze sobą zabrał.

Nie zносиła opowiadać o swoich problemach. Brzmiało to zawsze melodramatycznie i tak, jakby chciała zagrać na uczuciach słuchacza.

Ale ta wyjątkowa sytuacja wymagała radykalnych posunięć.

– Moi rodzice nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym kilka lat temu. Angie i ja jesteśmy na świecie same. A co do mojego byłego męża... – Marcy wzniosła oczy ku niebu. – Teraz, kiedy się od niego uwolniłam, marzę o tym, żeby nas już nigdy nie odnalazł. Nie mogę brać od niego pieniędzy, nie ryzykując, że będzie chciał powrócić do naszego życia.

Lance patrzył jej w oczy, szukając w nich prawdy.

– Miałam trochę zaoszczędzonych pieniędzy – powiedziała spokojnie – ale wszystko pochłonął rachunek za szpital, lekarz Angie i prawnik, który załatwił rozwód. Opuściłyśmy nasze mieszkanie, zanim odcięli prąd.

No tak! Znowu zabrzmiało to bardzo melodramatycznie. Ale taka była prawda.

Marcy tylko starała się odmienić swój los.

– Płaca za opiekę nad dziećmi ledwie wystarczała na jedzenie.

Mieszkałyśmy w starym samochodzie, kiedy nadeszła wiadomość o tej bajecznej pracy.

Lance patrzył na nią z twarzą pozbawioną wyrazu. Nie wiedziała, czy udało jej się do niego trafić.

Tymczasem Angie wygrzebała się z fotelika i wyciągnęła rączki do mamy.

– Och, Angie! – westchnęła Marcy.

– Czego jej potrzeba? – zapytał Lance.

Wciąż próbował przetrwać słowa Marcy.

Naprawdę były zupełnie same na świecie! W dodatku w sytuacji bardzo dalekiej od jego wizji szczęśliwego życia. Nie mógł się z tym pogodzić.

– Pewno chciałyby sobie poraczkować. Ale ja już jestem za bardzo zmęczona.

– Popilnuję jej. Ty się zajmij sobą.

Co też go skłoniło, żeby to powiedzieć? Nie miał pojęcia o dzieciach.

Jednak Marcy była zbyt zmęczona, żeby zajmować się małą. A on nagle zapragnął ją odciążyć. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Tylko chwilę. Pójdę się odświeżyć. – Wyciągnęła córeczkę z fotelika. – Rozłóż jej ten stary wojskowy koc i niech sobie raczkuje. Uważaj tylko, żeby nie wkładała niczego do buzi ani paluszków do kontaktu.

– Dopilnuję jej, bądź spokojna.

Marcy obróciła się do niego ze łzami w oczach.

– Wiem, że mogę ci ufać. I jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc.

W godzinę później Lance miał już dość. Kto by pomyślał, że z małą dziewczynką trudniej sobie poradzić niż z kilkusetkilogramowym byczkiem?

Uganiał się za nią. Mówił „nie, nie wolno”. Brał ją na ręce i sadzał na kocu tak wiele razy, że był tym zmęczony.

Tymczasem Angie była wciąż radosna i pełna energii. Znów wyciągnęła do niego rączki, więc schylił się po nią z uśmiechem.

– Wcale się nie dziwię, że tak zmęczyłaś mamę – powiedział, kiedy usadowiła mu się na kolanach. Wyciągnął do niej dłonie. – Złap mnie za palce, Angie. Dzielna dziewczynka!

Mała przyglądała mu się uważnie, gdy tak do niej przemawiał.

– I o czym myślisz, kiedy tak mi się przyglądasz, maleńka?

Angie wyglądała na w pełni zadowoloną. Nie istniały dla niej jeszcze żadne przesady.

Patrzyła na niego zafascynowana, z podziwem w oczach. Potem zaczęła się kołysać i Lance urządził jej przejażdżkę na kolanach.

– Któregoś dnia nauczę cię jeździć na prawdziwym koniu, chcesz?

Angie roześmiała się zachwycona, a potem zrobiła coś zadziwiającego.

Podciągnęła się i oparła o jego pierś.

Lance przytrzymał ją, aż stanęła zupełnie prosto.

– Stoisz o własnych siłach, maleńka – powiedział z uśmiechem. – Poczekaj tylko, opowiem to mamie.

Podniósł ją i wstał, by odszukać Marcy.

Powinna szykować się do snu. Angie też pewno wkrótce zaśnie.

Ruszył w kierunku pokoju personelu i zobaczył Marcy rozmawiającą z jednym z kierowców tirów. Poprzednio słyszał, jak facet ten przechwalał się, że bez problemu poradzi sobie ze śnieżycą.

Lance nie ufał mu ani trochę. A już na pewno nie powierzyłby mu tych dwóch słodkich istot.

Błyskawicznie podjął decyzję, tak jakby w zamku obrócił się właściwy klucz.

Nie pozwoli, żeby odjechały z jakimś obcym typem. Pojadą z nim. Wykluczył inne rozwiązanie.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Co to za rzeczy! Czy my naprawdę tego potrzebujemy? – Marcy w zdumieniu spoglądała na przeładowany tył samochodu.

Przed kilkoma godzinami wyjechali z bazy autobusowej i na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu.

Kiedy poprzedniej nocy Lance postanowił odwiedzić je do Cheyenne, Marcy chciała go uściskać z radości.

Zreflektowała się jednak pod spojrzeniem hebanowych oczu i tylko podziękowała mu wylewnie. Kiedy się dotykali, a także kiedy się nie dotykali, iskrzenie między nimi wytrącało ją z równowagi.

– To są zapasy na wypadek, gdybyśmy znowu gdzieś utknęli. Woda, koce, jedzenie. Nie zaszkodzi być przygotowanym na wszystko.

– Byłeś skautem? – Marcy rozsiadła się w fotelu pasażera. Podróżowało się im naprawdę luksusowo.

– Nie. Jako dziecko nigdy nie mieszkałem wystarczająco długo w jednym miejscu. Ale jako nastolatka nauczono mnie odpowiedzialności i obowiązków dorosłego Dine.

– Dine?

– Tak Navaho nazywają samych siebie.

Lance zamilkł, a Marcy odwróciła się do Angie. Szum silnika ukołysał dziecko do snu.

Marcy przesunęła dłonią po gładkiej skórze siedzenia i westchnęła.

Śnieg przestał sypać przed kilkoma godzinami, a drogę – którą jechali – niedawno przetarł pług śnieżny. Wszystko zapowiadało się dobrze.

Nie była pewna, czy Lance chce z nią rozmawiać.

Musiał być zmęczony po krótkiej drzemce poprzedniej nocy, a rozmowa pomogłaby mu zachować przytomność.

– Wspomniałeś, że w dzieciństwie często zmieniałeś miejsce pobytu – zaczęła z wahaniem. – Ja zawsze marzyłam o podróżach. Opowiesz mi o miejscach, w których dorastałeś?

Milczał przez chwilę i Marcy pomyślała, że może wolałby nie rozmawiać i skoncentrować się na prowadzeniu.

Jednak odchrząknął i zaczął mówić przyciszonym głosem. Domyślała się, że nie chce obudzić Angie.

– Mój ojciec jest oficerem marynarki. Skończył studia w Annapolis, zanim się urodziłem... a potem wszystko się poplątało.

Sarkazm w jego głosie uświadomił jej, że Lance nie ocenia zawodu ojca tak dobrze jak ona sama.

– Po moim urodzeniu w ciągu ośmiu lat stacjonował w dziesięciu krajach. Matka i ja nie byliśmy we wszystkich, przeważnie jednak towarzyszyliśmy ojcu. Włochy, Japonia, Korea, Hawaje, Filipiny. Pamiętam je jak przez mgłę.

– To wspaniałe – powiedziała Marcy entuzjastycznie. – Ja dorastałam w małej miejscinie w południowym Illinois. Zawsze chciałam podróżować. Wyjechać dokądkolwiek.

Potrząsnął głową i spojrzał na nią spod oka.

– Dla mnie to wcale nie był złoty sen. Zawsze marzyłem, żeby gdzieś osiąść na stałe. Śniłem o wielkim domu, który znałbym tak dobrze, że stałoby się to nużące. Poznać inne dzieci na tyle dobrze, by móc je nazywać przyjaciółmi.

– Przepraszam – szepnęła Marcy cichutko. – Nie myślałam o tym w ten sposób. Co się stało, kiedy skończyłeś osiem lat?

– Umarła moja mama.

Marcy milczała. Kiedy ona w końcu nauczy się trzymać buzię na kłódkę?

– Po pogrzebie ojciec zostawił mnie w domu swojej matki w Nowym Orleanie, a sam kontynuował karierę. Ale tam też nie miałem domu. Babka nigdy nie była zachwycona swoją synową, a poza tym drażnił ją mój brak wykształcenia i ogłady. Spędziłem z nią zaledwie kilka tygodni, zanim wyłądownołem w pierwszej z całej serii szkół z internatem.

Krewni mojej matki w rezerwacie Navaho w północno – wschodniej Arizonie nieprędko dowiedzieli się o jej śmierci. Kiedy ta wiadomość dotarła do nich, zwrócili się do władz plemiennych z prośbą o mój powrót do plemienia.

Wydawało się, że mają po swojej stronie zarówno władze plemienne, jak i federalne. Trwało to kilka lat, ale w wieku lat trzynastu wreszcie trafiłem do Arizony, by uczyć się życia według zasad plemiennych.

– To mi wygląda na zesłanie!

Kąciki jego ust drgnęły, ale czy to aby był uśmiech? Znowu pożałowała swoich słów.

– To nie było gorsze niż internat – zapewnił.

– No

I w końcu komuś na mnie zależało.

– Czyli w sumie dobrze się stało?

Lance wzruszył ramionami i zauważyła, jaki jest napięty.

– Dobrze się stało, że mogłem poznać kulturę Navaho. Nauczyłem się szanować ziemię i rodzinę. Dowiedziałem się, jak troskliwie trzeba je chronić. Jestem zadowolony, że poznałem obrzędy Navaho i ich spojrzenie na życie. U Indian nauczyłem się wszystkiego, co wiem o koniach. Dzięki

tej wiedzy mogłem brać udział w rodeo, a wierz mi, że to jedno z moich najpiękniejszych przeżyć.

Marcy miała wrażenie, że mówiąc tak wiele, nie powiedział najważniejszego.

Czy znalazł dom, za którym tak długo tęsknił?

Nie wspomniał też ani słowem o przyjaźni czy miłości.

W nagłym przebłysku zrozumiała, że Lance nigdy nigdzie nie znalazł miejsca dla siebie. Nie należał do świata ojca i babki, świata podróży, książek i dobrych manier. Ani też do świata matki, świata ziemi, dawnej kultury i obrzędów.

Nie wiedziała, jak mu przekazać swoje uczucia.

Przypuszczała, że jego opowieść nie służyła wzbudzeniu sympatii. I mogła tylko mieć nadzieję, że Lance zechce przyjąć jej przyjaźń.

Usiadła wygodnie i przymknęła oczy. Czasem najlepiej jest milczeć.

Lance obejrzał się na Angie.

Wełniana czapeczka zsunęła jej się na oko, ale dziewczynka spała spokojnie. Widok słodkiego maleństwa przyprawił go o bicie serca.

W prawdziwie szczęśliwej rodzinie powinny być dzieci.

Marzył o własnej córeczce, która spoglądałaby na niego z takim podziwem i oddaniem jak Angie zeszłej nocy.

Ogarnęła go silna tęsknota za domem i rodziną i zmusił się, by skierować myśli na inne tory. Popatrzył na mamę małej, śpiącą w fotelu pasażera. To jednak wcale nie przytłumiło odczuwanego bólu, a tylko go wzmocniło.

Wyglądała tak krucho, i diabelnie seksownie.

Potargane blond loki okalały twarz o pełnych, różowych wargach.

Sprawiała wrażenie szczęśliwej, otoczonej miłością kobiety.

Czuł pożądanie i był przekonany o jej wzajemności. Powiedział mu to wyraz jej oczu poprzedniej nocy. Niemal pochylił się, by ją pocałować – przeżycie niebiańskie, choć całkowicie irracjonalne w tych okolicznościach.

Uniósł dłoń, by dotknąć jej twarzy.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami barwy czekolady. Prawie poczuł satynową miękkość jej skóry pod palcami. Prawie.

Dziecko zaczęło się wiercić w jego ramionach, a ktoś potrącił go w przedsionku bazy ciężarówek, gwałtownie wytrącając z romantycznego nastroju. To nie było właściwe miejsce na takie gesty.

Ani odpowiednia kobieta.

Może nie tyle nieodpowiednia, po prostu nie była Lorną. Nie była kobietą, z którą postanowił założyć szczęśliwą rodzinę.

Chyba potrafi utrzymać ręce przy sobie, a wyobraźnię na wodzy, dopóki nie wróci do domu i nie poprosi Lorny o rękę?

Potań podbródek i ogarnął wzrokiem zaparowane szyby. Zaczynał się w tym wszystkim gubić.

Przeciągnął się i ukradkiem poprawił zbyt ciasne dżinsy.

Spróbował sobie przypomnieć zasady odpowiedzialności zaszczerpione mu we wspólnocie indiańskiej. Reguła Czterech Kierunków – tak, to było to.

Wschód symbolizował świt. Początek. A także rozsądek. Tak, powinien zacząć myśleć rozsądnie.

Jak to ujęli jego nauczyciele?

Navaho powinien gruntownie przemyśleć każdy krok. Rozważyć każdy ruch.

Tak właśnie postąpił, decydując się na związek z Lorną. Uznał, że mając wiele wspólnego, będą dobraną parą. Był dumny z tak rozsądnej konkluzji.

Marcy mruknęła coś przez sen i poruszyła się niespokojnie.

Zaprzątnięty swoimi myślami, Lance zbyt późno zauważył wybój na drodze, nie zdążył go już ominąć i uderzył weń prawym przednim kołem. Coś zazgrzytało i samochód podskoczył gwałtownie. Do diabła!

Marcy poruszyła się i otworzyła oczy.

– Co... ?

Angie obudziła się i zaczęła płakać.

– To tylko wybój! – Lance usiłował przekrzyczeć harmider.

– Jeżeli się zatrzymasz, to uspokoję Angie. Pomyślał, że warto sprawdzić oponę.

Zjechał na bok, unikając zasp i stanął. Zostawił włączony silnik oraz ogrzewanie i zaciągnął hamulec ręczny.

Przypuszczał, że Marcy przejdzie do tyłu między siedzeniami, tak jak poprzednio. Wysiadł, by obejrzeć koło.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Opony były solidne i powinny wytrzymać niejedno takie uderzenie.

Usłyszał, jak drzwi za nim otworzyły się i zamknęły. Odwrócił się i zobaczył Marcy mocującą się z tylną klapą. Obszedł więc samochód i stanął przy niej, próbując ją osłonić od wściekłych podmuchów wichury.

– Potrzebujesz czegoś? Myślałem, że możesz sięgnąć po wszystko z tylnego siedzenia.

Uniósł klapę i pochylił się nad Marcy, chroniąc ją przed wiatrem. Zaskoczyło go bijące od niej ciepło. Chociaż okropnie wiało, poczuł delikatny zapach słońca i talku.

To był jej zapach, wiedział to od razu.

Jej włosy pachniały słońcem, a ten drugi zapach kojarzył mu się z dzieckiem. Jest bardzo miły, pomyślał, taki domowy.

Jego ciało zareagowało na ten zapach zupełnie inaczej niż umysł. Lance był podniecony. Zaciął zęby i odsunął się jak najdalej, starając się jednak nadal osłaniać Marcy od wiatru.

Pochylona, szukała czegoś w bagażniku.

– Torba małej jest na samym spodzie. – Marcy prawie wczułgała się do środka. – Chyba ją mam.

Lance obserwował jej zgrabny tyłeczek w obcisłych dżinsach.

– Ja poszukam – zaproponował. – Zmarzniesz. Obawiał się, że nie zdoła się powstrzymać od dotknięcia jej.

– Mam ją – wymamrotała. – Muszę tylko mocno szarpnąć.

Marcy starała się wyciągnąć torbę za uszy spod przygniatających ją rzeczy. Pochylił się, by jej pomóc, i w tym momencie paski pękły.

Marcy poleciała do tyłu. Lance zdołał ją złapać, ale stracił równowagę i poślizgnął się. Przewrócili się oboje, on na plecy, ona na niego.

No tak! Wydało się, jak na niego działa.

Ze zręcznością nabytą na arenie rodeo i jeszcze większą determinacją Lance obrócił się, w jednej chwili stawiając ich oboje z powrotem na nogi.

Nagle uświadomił sobie, że trzyma Marcy za ramię niebezpiecznie blisko piersi, a drugą dłoń przyciska do jej żołądka.

Puścił ją. Nie mógł jej spojrzeć w oczy, więc przeniósł wzrok ponad jej ramieniem na Angie wciąż płaczącą na tylnym siedzeniu.

– Przepraszam – zdołał wykrztusić. – Wsiadaj, zaraz ci przyniosę tę przeklętą torbę.

Marcy nie mogła znaleźć wygodnej pozycji i spróbowała skulić się pod pasem bezpieczeństwa, unikając wzroku kierowcy.

Od krepującego incydentu upłynęło już kilka godzin, a oni wciąż nie zamienili ani słowa.

Czując, że zdradziecki rumieniec wstydu znów wypełza jej na szyję, Marcy jeszcze raz wspomniała to, co zaszło. A chciała tylko zmienić Angie pieluchę i dać jej kilka herbatników. A potem urwały się te przekłete uszy od torby i przewróciła się na Lance'a.

W pierwszej chwili zabrakło jej tchu, ale zaraz potem uświadomiła sobie, na czym właściwie wylądowała.

Zabawne. Już przebywanie w jednym samochodzie wywoływało erotyczne napięcie między nimi, ale ona, nie wiadomo dlaczego, wyobraziła sobie, że Lance jest na to odporny. Wydawał się taki chłodny i powściągliwy.

Tymczasem czuł to samo, co ona. Niemal nie mogła w to uwierzyć. Przez cały czas był taki poważny i skupiony. Szkoda, że nie zauważyła wcześniej tego charakterystycznego wyrazu w jego oczach. Powiedział jej przecież, że zamierza poślubić kobietę, z którą jeszcze nie spał. Ten zamiar przeczył pożądanemu, które tliło się w ciemnych oczach.

Nagle podejrzenie kazało jej skrzyżować ramiona na piersi i usiąść prosto.

Czyżby Lance, podobnie jak wielu spotkanych ostatnio mężczyzn, uważał, że rozwódka jest dość dobra, by się z nią zabawić, ale niewarta, by stworzyć z nią rodzinę? No cóż, jeżeli tak, to mógł sobie milczeć do końca podróży.

Lubiła ciszę.

Jako dziecko spędzała sporo czasu w miejskiej bibliotece. Czytała, marzyła o dalekich podróżach, egzotycznych ludziach i miejscach. W książkach znajdowała odprężenie i ucieczkę od kłótni rodziców.

Potem do miasta przyjechał jej eksmąż, Mike, czarujący i elokwentny. Nie czuła przy nim wprawdzie tego dreszczyku, jaki wywoływała w niej

obecność Lance'a, ale Mike pięknie mówił. Godzinami opowiadał o tym, jak pokaże jej świat, wszystkie te piękne miejsca, które już odwiedził, i te, do których tęskniła jej dusza.

Znali się zaledwie miesiąc, kiedy wzięli ślub, i zostawiła za sobą dotychczasowe nudne życie.

No cóż. To zakrawało na kiepski żart.

Przejechali zaledwie kilkaset mil i wylądowali w ciasnym mieszkaniu w Minneapolis. A tam dosięgła ich szara rzeczywistość – poszukiwanie kolejnych niewdzięcznych zajęć, brak pieniędzy i rozrywek.

Marcy wymykała się potajemnie do ciepłej i spokojnej biblioteki miejskiej. Cisza z pewnością nie była jej nieprzyjazna. Od dawna lubiła jej towarzystwo.

– Jesteś głodna? – Głos Lance'a dotarł do niej z daleka i odwróciła się, by spojrzeć na profil jego właściciela.

– Głodna? Nie, raczej nie.

– A ja tak. Przejechaliliśmy spory kawał, odkąd przestało sypać.

Musimy zatankować.

Nie patrzył na nią i Marcy zastanawiała się, czy wciąż odczuwa zakłopotanie.

– Dojedziemy do Cheyenne przed Bożym Narodzeniem?

– Wciąż mam nadzieję, że zdążę cię tam zawieźć i wrócić na ranczo przed Wigilią.

– Wspaniale. – A więc fakt, że jej pożądał, nie wpłynął na jego zamiar poślubienia innej kobiety.

Marcy podejrzewała, że motywy jego postępowania były bardziej skomplikowane, niż z początku sądziła.

Potrząsnęła głową i postanowiła tego nie komentować.

Przyjaciele... Kochankowie...

Nie zamierzała być dla Lance'a ani jednym, ani drugim. I, dzięki Bogu, zdołała to zrozumieć, zanim dała się ponieść fantazjom.

– Wjeżdżamy na ziemie Dakoty Północnej nazywane Badlands.

Spędziłem tu wiele czasu na rodeo. Znam miejsce, gdzie możemy zatankować i nieźle zjeść. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Pomyśl o miłym ciepełku i pachnącym domowym cieście, a zaraz zgłodniejesz.

Z pewnością, pomyślała Marcy, zamykając oczy.

Jego łagodny, głęboki głos sprowadzał na nią głód o wiele silniejszy niż odczuwany przez nią kiedykolwiek w życiu.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marcy siedziała na stołku barowym i obserwowała fiołkowe oczy jednej z najbardziej olśniewających kobiet, jakie spotkała w życiu.

Gęste, brązowe włosy okalały jej twarz. Długie, ciemne rzęsy podkreślały piękne oczy.

– Marianne, to jest Marcy, a mała ma na imię Angie. – Lance stanął za nią z Angie na rękę i odezwał się do wspaniałej kobiety za ladą jak do najlepszej przyjaciółki.

– Witaj, Marcy, witaj, Angie. Mam nadzieję, że jesteście głodne.

Sweter w kolorze ametystu współgrał z barwą oczu Marianne, a jej uśmiech był równie szczery jak słowa.

Marcy splotła dłonie na kolanach i patrzyła w ziemię.

– Miło cię poznać – wymamrotała, nie podnosząc wzroku. – Dla Angie potrzeba tylko kilku herbatników i szklanki mleka. A ja wypiję kawę. Dzięki.

Nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem swoich nieefektywnych, znoszonych ciuchów ze wspaniałym strojem Marianne i zapragnęła się schować w mysią dziurę.

W końcu jednak spojrzała w górę i wychwyciła wymianę spojrzeń pomiędzy Lance'em i Marianne.

Z pewnością łączyło ich coś więcej niż tylko zwykła znajomość.

– Poszukam fotelika dla Angie, a wy siadajcie i czujcie się jak w domu.

Lance podał dziecko Marcy.

– Pomogę ci.

Marianne zerknęła na Marcy.

– Nie trzeba. Zaraz wracam.

Klientów było niewielu, może dlatego, że było dopiero południe w przeddzień Wigilii.

Zdjęli płaszcze i usiedli przy spokojnym stoliku w rogu.

Zanim Marcy zdołała zauważyć, co się dzieje, stanęła przed nią ogromna porcja kurczaka z kluskami, a Lance już karmił Angie takim samym drobno pokrojonym mięsem.

Ciepła i przytulna salka była czysta i udekorowana rekwizytami rodem z westernów.

Bar sprawiał wrażenie dobrze prosperującego, a Marianne była miła i serdeczna.

Wróciła z kuchni i stanęła przy ich stole.

– Zaraz przyniosę szarlotkę. Powinna wam smakować.

Marcy chciała powiedzieć, że nie zdoła wcisnąć w siebie nic więcej, ale miała buzię pełną jedzenia.

Lance skinął głową i uchylił się przed gestem Angie próbującej nakarmić go garścią swojego jedzenia.

– Wspaniale, dziękujemy – odpowiedział do Marianne. – A przy okazji, jak się ma Hank? Co porabia?

Marianne spojrzała na sufit.

– Zrzuca śnieg z dachu, zanim spadnie następny.

– Chciałbym z nim pogadać. Pomogę mu.

– Jak skończysz obiad, możesz wejść na dach. Chętnie cię zobaczy.

Marianne wróciła do kuchni, a Marcy przełknęła ostatni kęs. Potem wyszukała w torbie chusteczki i wytarła buzię Angie.

– Marianne jest bardzo miła – rzuciła od niechcienia. – Długo się znacie?

– Jakieś dziesięć lat – odpowiedział pałaszując.

– Czy wy... ?

Lance odsunął pusty talerz i oparł łokcie na stole.

– Jeżeli pytasz, czy byliśmy ze sobą, to owszem. Kiedyś. Dawno temu.

I znowu ciekawość wpędziła ją w kłopoty. Tymczasem Lance przyglądał się jej uporczywie. To spojrzenie przenikało ją na wylot. –I co się stało? Wzruszył ramionami.

– Nie zgraliśmy się w czasie. Ona chciała mieć dom, a ja byłem jeźdźcem rodeo.

– Ale teraz już masz dom.

– Ona też. Od czterech lat jest szczęśliwą żoną. Hank występował na rodeo, dopóki o jeden raz za dużo nie roztrzaskał sobie nogi. Dziś prowadzi tę fantastyczną knajpę i stację benzynową. Pochodzi stąd i ma tu rodzinę.

– To smutne, że wasze drogi tak się rozeszły. Lance skrzyżował długie nogi.

– Tak to bywa. Czasem chcesz czegoś bardzo mocno i nic z tego nie wychodzi. – Wziął głęboki oddech. – I zwykle tak jest lepiej.

Wiedziała o tym.

Całe szczęście, że Mike rzucił ją, kiedy się dowiedział o dziecku. Angie to jedyne dobro, jakie mu zawdzięcza.

Odchodząc, dał jej szansę na lepsze życie.

– Kiedy byłam mała, myślałam, że każdy dobry człowiek spotyka odpowiednią osobę, zakochuje się

I żyje szczęśliwie – powiedziała spokojnie. – Jak w bajce. Ale tak nie jest, prawda?

Kącik ust Lance'a uniósł się w półuśmiechu.

– Nie wierzę w bajki. Ale sądzę, że każdy dokonuje wyboru.

Ona też uważała, że każdy człowiek kształtuje swój los. Dlaczego w takim razie chciał poślubić niekochaną kobietę?

Prześlizgnęła się spojrzeniem po umiejętnie sylwetce w czarnej koszulce i dzinsach. Lance wyglądał imponująco.

Która kobieta mogłaby mu odmówić?

Nie chciała dłużej rozważać smutnej historii zerwanego romansu z Marianne. Być może wkrótce czeka go kolejne rozczarowanie.

Marcy z całych sił zapragnęła móc cofnąć czas i znowu uwierzyć w bajki.

Lance z założonymi do tyłu rękami wpatrywał się w zaśnieżony krajobraz za oknem. Jego myśli zaprzętały dzieci.

Zaczęło się od Angie.

Zastanawiał się, jak zniesie podróż dookoła świata i wyobrażał sobie, jakim będzie ślicznym dzieckiem. Potem oczami wyobraźni zobaczył inne dzieci, dzieci z ciemnymi oczami i włosami, podobne do niego.

Chciał mieć dzieci.

– Ona jest cudowna – Marianne odezwała się miękko, przerywając tok jego myśli.

– Kto? – Odwrócił się gwałtownie.

– Marcy. Cudowna. Zaprowadziłam ją do pokoju. To pierwsza kobieta, jaką tu przywiozłeś. Jest dla ciebie kimś ważnym.

Zaprzeczył bardziej żarliwie, niż miał zamiar, i cofnął się o krok.

– To nie tak. Zabrałem ją po drodze i obiecałem zawieźć do Cheyenne. Prawie jej nie znam.

Marianne pominęła te gorączkowe wyjaśnienia milczeniem.

– A skąd się wzięłeś tak daleko od domu w tę podłą pogodę? Nie byłeś u nas, odkąd mieszkasz w Montanie. Skąd więc teraz, przed samymi świętami, w tę okropną zadymkę... ?

Lance uśmiechnął się przekornie.

– Niecierpliwość. Głupota. Arogancja. Wybierz sobie.

Zaczął zbierać ze stołu brudne talerze.

– Uparłem się zdążyć na Wigilię na ranczo. Nic nie mogło mnie powstrzymać.

– Na Wigilię? Przecież to jutro, a ty masz zamiar jeszcze dojechać do Cheyenne. – Marianne wyglądała na zdezorientowaną. – Co będzie, jeżeli nie zdążysz?

– Wtedy to, co zaplanowałem na Wigilię, poczeka kilka dni.

Właściwie to nie wiem, dlaczego tak bardzo zależało mi, żeby to była Wigilia.

Marianne przetarła mokrą ścierką stół oraz krzesła i zerknęła za okno.

– Pogoda się zmienia. Jest o dziesięć stopni cieplej niż rano i wiatr przycichł. Znowu zaczyna sypać. Jeżeli chcesz pomóc Hankowi, to się pośpiesz.

Lance skierował się ku drzwiom.

– Niedługo wrócę. Powiedz Marcy, gdzie jestem. Niech nie wychodzi na dwór.

Marianne zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Czy chcesz się do tego przyznać czy nie, ona jest dla ciebie kimś ważnym. Patrzysz na nią, jakbyś chciał ją schrupać.

Zanim zdążyła skończyć, zaprzeczył gwałtownie.

Marianne tylko się uśmiechnęła.

– Przecz sobie, ile chcesz. Ale był taki czas w moim życiu, kiedy oddałabym dużo, żebyś tak na mnie patrzył. Z głębi serca.

Odetchnął głęboko i dotknął dłonią ust, zanim się odezwał.

– Moje serce nie ma tu nic dorzeczy. Różnimy się od siebie. Odwiozę ją do Cheyenne i nigdy się więcej nie spotkamy.

Marianne, wciąż łagodnie uśmiechnięta, patrzyła na niego w milczeniu.

– Słowo daję, wcale o tym nie myślę. Spotkaliśmy się przypadkiem. Ona dostanie pracę i wyjedzie z kraju na całe miesiące. Ja buduję nowy dom na ranchu w Montanie. W końcu znalazłem swoje miejsce. – Zacisnął szczęki i odwrócił się do drzwi. – Między nami nic się nie może wydarzyć.

Zanim sięgnął do klamki, Marianne odezwała się raz jeszcze:

– Może czy nie może, nie uciekaj od tego, bo będziesz żałował przez całe życie.

Lance był zły.

Jeszcze jedna nawiedzona baba. Do diabła z tym! Trzasnął drzwiami i wciągnął głęboko w płuca mroźne powietrze.

Wszystko, czego chciał, czekało na niego w Montanie.

Jeszcze kilka dni i po całej tej sprawie pozostaną tylko blednące wspomnienia. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Marcy weszła do kuchni z małą w ramionach.

– Piękny dom, Marianne. Bardzo dziękuję, że mogliśmy się odświeżyć.

– Jesteście moimi najmiłszymi gośćmi. Siadaj, proszę.

Wytarła ręce.

– Lance prosił, żebyście poczekały na niego w ciepłe. Jest na dachu z moim mężem. – Marianne uśmiechnęła się. – Wiosną planujemy powiększyć bar, a potem może i dom. Zobaczymy, jak pójdą interesy.

– Jak ci się żyje na tym odludziu? – Marcy kołysała małą na kolanach. – Lance wspominał, że twój mąż pochodzi stąd i ma niedaleko rodzinę. Ale pewnie czasem bywasz samotna?

Marianne uśmiechnęła się szeroko.

– Samotna? Mamy tyle pracy, że ledwo znajduję czas na kąpiel, a co dopiero myśleć o samotności!

Angie zaczęła się wiercić.

Marianne bez pytania podała jej czystą łyżkę.

– Zresztą, to ja chciałam tu zamieszkać i prowadzić bar. Brat Hanka, Bobby, mieszka jakieś pięćdziesiąt mil na zachód. Bobby i Lance przyjaźnili się i razem występowali na rodeo, a potem Bobby zakochał się w mojej przyjaciółce. Zaproponowano mu pracę w nowo otwartym kasynie w Pine Ridge. Wtedy postanowił wrócić na stałe do domu. Mają dwoje dzieci, wspaniały dom i dziesięć akrów ziemi. Powodzi im się dobrze i są szczęśliwi. Kiedy zaczęłam chodzić z Hankiem, jeździliśmy do nich w wolnych chwilach. Wtedy zaczęłam tęsknić do normalnego życia i dużej rodziny.

– Więc ty też jeździłaś na rodeo? – Marcy znów za późno ugryzła się w język.

Marianne roześmiała się.

– Próbowałam jako nastolatka, ale nie szło mi najlepiej. Później prowadziłam budkę z jedzeniem, wiesz... hamburgery, tacos i tak dalej.

Marcy skinęła głową i odetchnęła z ulgą.

Słyszała niejedno o kobietach włóczących się z jednego rodeo na drugie i sypiających z kowbojami.

Dobrze, że Marianne do nich nie należała.

– Po ostatnim wypadku Hanka – mówiła dalej Marianne – kiedy trafił do szpitala na sześć miesięcy, postanowiłam coś zmienić w naszym życiu. Zawsze lubiłam gotować, więc wiedziałam, co chcę robić.

– Rzeczywiście, gotujesz świetnie – przyznała Marcy. – Cieszę się, że ci dobrze idzie.

– Dziękuję. – Marianne znów uśmiechnęła się olśniewająco. – Czy Angie niczego nie potrzeba?

– Jest zmęczona i chyba zaraz uśnie. Marianne wstała.

– Napijemy się kawy?

– Nie, dzięki. Wciąż jeszcze jestem syta. Zamykasz bar na święta?

– Tak. To jedyny dzień w roku, kiedy nie pracujemy. – Marianne naląła sobie kawy i wróciła do stołu. – Ale i tak nie spotkamy się z całą rodziną. Bobby i Vicky z dziećmi jadą na Florydę do jej rodziców. Hank ma tu jeszcze innych braci i rodziców, ale będziemy tęsknić za Bobbym i Vicky. – Marianne przez chwilę milczała, popijając kawę. – To naprawdę wspaniały facet – szepnęła w końcu.

– Twój mąż czy jego brat?

– O, Hank jest świetny i bardzo go kocham, ale miałam na myśli Lance'a.

– Och! – Marcy nie wiedziała, czy miała ochotę usłyszeć to od jego dawnej kochanki. Postanowiła nic nie mówić.

– Opowiedział mi, jak się spotkaliście – odezwała się znowu Marianne. – Pomyślałam, że może chciałabyś coś o nim wiedzieć.

No... właściwie...

Jeżeli chodziło o Lance'a, Marcy nie wiedziała, czego chce.

Chciałaby go poznać, może zaprzyjaźnić się. Ale mieli dla siebie tylko jeden dzień. Może lepiej pozostać nieznanymi?

Milczała niezdecydowanie tak długo, że Marianne sama zaczęła mówić dalej.

– O jego niezwykłych wyczynach mogłabym opowiadać cały dzień. Powiem ci tylko, że przyjaciele w potrzebie mogą na niego liczyć. Potrafi się wtedy zdobyć na czyny z pozoru niewykonalne. To on pożyczył nam pieniądze na rozkręcenie interesu. Żaden bank nie dałby pożyczki młodym ludziom bez doświadczenia, za to obciążonych olbrzymim rachunkiem za szpital. Lance'a nawet nie zdążyliśmy poprosić. Usłyszał o naszych kłopotach i pojawił się z czekiem. Kiedy po pierwszym roku prawie zbankrutowaliśmy, dał nam jeszcze więcej pieniędzy. Nie chcę powiedzieć, że jest święty. Kiedyś miałam ochotę skrócić mu kark. Ale potem dowiedziałam się, że to Lance pożyczył Hankowi pieniądze na budowę domu. I mało tego, w wolne dni pomagał mu na budowie. Oboje spłaciliśmy długi co do centa, ale nie o to chodzi. Najważniejsze, że Lance bez wahania oddałby przyjacielom wszystko, co ma.

Marianne dotknęła ramienia Marcy.

– To dobry człowiek. Najlepszy. Chciałam, żebyś wiedziała, co o nim myślą inni.

Marcy wyczuwała, że Lance różni się od znanych jej mężczyzn.

Słowa Marianne tylko to potwierdziły.

Nie miała jednak najblidszego pojęcia, co zrobić z tą wiedzą. Wątpiła, czy uda jej się nie zakochać w nim.

Wszystko, o czym marzyła, czekało w Cheyenne. Gdyby tylko potrafiła nie marzyć o Lansie, dopóki tam nie dojadą...

Kiedy Lance znowu wsadził Marcy i Angie do samochodu, nie było już mrozu, a mokry, ciężki śnieg znowu sypał gęsto. Słońce zaszło przed wieloma godzinami. Było ciemno i cicho, a jazda powolna i uciążliwa.

Nie powinien był tracić tyle czasu z Hankiem. Ale przecież nie mógł mu nie pomóc.

Hank i Marianne byli dobrymi przyjaciółmi. Marianne podarowała Marcy kilka par grubych skarpet i ciepłą parkę, trochę za dużą i jasnoczerwoną, ale dużo cieplejszą niż znoszony płaszcz Marcy. Miły wzruszający gest.

Jechali powoli przez następną godzinę, a Lance mógł mieć tylko nadzieję, że wycieraczki wytrzymają.

Po następnych trzydziestu milach zatrzymał się żeby odgarnąć śnieg ręcznie.

– Czemu stoimy? – ziewnęła Marcy.

– Muszę odgarnąć śnieg.

Kiedy wrócił do samochodu, na szybie znów leżała gruba warstwa.

– Damy radę dojechać? – W głosie Marcy brzmiało napięcie i niepokój.

Lance zapragnął ją uspokoić i otoczyć opieką. Potrząsnął głową i włączył niski bieg.

– Jesteśmy już za daleko, żeby wracać. Jeżeli pojedziemy dalej, może uda nam się wyprzedzić burzę.

Zabrzmiało to nieszczercze, trochę jak pobożne życzenie.

Im dalej jechali, tym było gorzej. Ale krążenie w kółko byłoby bez sensu i najrozsądniej było przeć do przodu.

Po półgodzinie pojawił się następny problem. Droga była coraz bardziej zawiana.

W pewnej chwili Lance zauważył ślady opon, tak jakby jechała przed nimi ciężarówka. Przyłgął do nich wzrokiem i odetchnął nieco lżej.

Zobaczył, że Marcy tak mocno ściska klamkę od drzwi, że kłykcie ma białe z wysiłku.

Jeszcze nie zauważyła śladów i była bardzo spięta. Chciał ją jakoś uspokoić.

Odchrząknął i odezwał się najspokojniej jak mógł:

– Wygląda na to, że jedziemy za ciężarówką. Jeżeli ona przejedzie, to i my damy sobie radę, jadąc po jej śladach.

Nie odpowiedziała, więc mówił dalej:

– Chcesz zajrzeć do Angie? Jest bardzo grzeczna. Marcy przestała wstrzymywać oddech.

– Mała śpi. Tak tu ciemno, ciepło i przytulnie... – jej głos drżał, ale najważniejsze, że się odezwała.

– Szkoda, że nic nie widać. Krajobraz jest wspaniały, góry są tu ogromne i urwiste.

W tej chwili zobaczył czerwone tylne światła. Przyhamował ostrożnie, z nadzieją, że nie wpadnie do rowu.

Marcy syknęła.

– Co się dzieje?

Samochód zatrzymał się i Lance naciągnął kapelusz na czoło.

– Jeszcze nie wiem, ale się dowiem.

Przeszedł kilka kroków i natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

Jeszcze przez kilka minut porozmawiał z grupą kierowców zebranych na środku drogi.

Zanim usiadł z powrotem w fotelu kierowcy, podjął decyzję.

– Droga jest zamknięta – powiedział do Marcy.

– Zanim ją odblokują, upłynie wiele godzin.

– I co teraz?

– Wrócimy pół mili do drogi prowadzącej na rancho mojego przyjaciela. To nie więcej niż trzy mile od skrzyżowania. Przekujemy tam burzę.

– Jakiego przyjaciela? Lance zaczął zawracać.

– Brata Hanka, Bobby'ego, i jego żony Vicky. Polubisz ich.

– Nie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co takiego?

– Nie możemy tam jechać. Marianne powiedziała mi, że Bobby z rodziną wyjechał na święta na Florydę. Nie ma ich na ranchu. – Ścisnęła go za ramię. – Co teraz zrobimy?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Nie bój się – mówił z uśmiechem, spokojnym, niskim głosem. – Możemy się schronić na ranchu Bobby'ego. Pomagałem mu przy budowie i wiem, co gdzie jest. A Bobby i Vicky nie mieliby nic przeciwko temu.

Uspokoili ją nie tyle same słowa Lance'a, co jego wewnętrzny spokój.

– Skoro tak... – Puściła jego ramię i uśmiechnęła się z wahaniem. – Trochę się martwię o Angie.

Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie chodzi o Angie. Mała znosiła całą tę sytuację zdumiewająco dobrze.

Dla Marcy śnieg nie był niczym nowym, ale ta oślepiająca zadymka doprowadzała ją do obłędu.

To ona, a nie Angie musiała się zmagać z uczuciem do siedzącego obok mężczyzny, który z każdą chwilą był jej coraz bliższy.

Jego głos i dotyk budziły w niej dreszcze pożądania.

Czyste szaleństwo!

Lance włączył napęd na cztery koła.

– Angie nic nie grozi. – Mrugnął do niej szelmowsko i znów poczuła znajome mrowienie w dole kręgosłupa. – Droga dojazdowa do farmy pewnie nie jest odgarnięta, ale pojedziemy powolutku i Angie nawet nie zdąży się przestraszyć.

Marcy pochyliła głowę i obserwowała zwały śniegu.

Będą mieli szczęście, jeżeli całkiem nie ugrzęzną. Jechali w ciszy i ciemności przez jakieś dwadzieścia minut.

Zauważyła, że Lance doskonale orientuje się w terenie, więc trochę się rozluźniła.

– Niełatwo znaleźć ten wjazd nawet przy dobrej pogodzie – mruknął – ale to powinno być gdzieś tutaj.

– Czy dom jest daleko od wjazdu?

– Nie, jakieś ćwierć mili.

Znowu ogarnął ją niepokój. A jeżeli nie trafią? Co wtedy?

Przed jej oczami pojawiły się przerażające wizje, kiedy Lance odezwał się: „To tutaj”.

Skręcił i Marcy poczuła, że auto ślizga się na lodzie. Wóz nie zareagował na następny delikatny ruch kierownicą i zaczął sunąć poślizgiem.

Zanim Marcy zdołała wydobyć z siebie głos, lewe tylne koło wpadło w głęboką dziurę i samochód znieruchomiał. Marcy wstrzymała oddech.

Lance po chwili namysłu wyłączył stacyjkę.

– Chyba dziś dalej nie pojedziemy, ale jeszcze sprawdzę.

Nie chciała zostać sama z dzieckiem.

– Zaczekaj. Pójdę z tobą. Może damy radę go wypchnąć.

Lance zatrzymał się i odwrócił.

– Nie bój się, nie odejdę daleko. Zawołam cię, jeżeli będę potrzebował pomocy. Na razie zostań, bo Angie może się obudzić.

Marcy skinęła głową. Ufała mu i wiedziała, że ma rację.

Odpiął pas i wysiadł. Marcy odwróciła się, by spojrzeć na córeczkę. Mała na razie spała spokojnie. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim wnętrze samochodu wychłodzi się teraz, kiedy silnik i ogrzewanie były wyłączone.

Obawiała się, że niedużo.

Lance otworzył prawe drzwi i wnętrzem targnął lodowaty podmuch.

Marcy uklękła na siedzeniu i sięgnęła po Angie, która się właśnie obudziła i rozpłakała.

– Wjechaliśmy do rowu. Nie chcę ryzykować waszego zdrowia, więc lepiej chodźmy do domu na piechotę. Potem wrócę po rzeczy.

Marcy nie bardzo sobie wyobrażała tę wędrowkę, ale, prawdę mówiąc, nie mieli innego wyjścia.

Lance wydobył Angie z fotelika i owinał w wojskowy koc.

– Zapnij parkę – nakazał Marcy. – Temperatura znowu spada.

Naciągnęła kaptur i wysiadła. Śnieg sięgał jej do bioder. Jak tu iść? Kiedy odzyskała równowagę, uświadomiła sobie, że Angie przestała płakać, jak tylko Lance jej dotknął.

– Nie możesz iść w tych butach – powiedział. Podał jej małą i owinał je obie kocem. – Trzymaj Angie, a ja poniosę was obie.

– Ale... ?

Bez słowa uniósł je w górę.

– Będzie ci za ciężko. Ja mogę iść.

– Oczywiście, że możesz – powiedział z uśmiechem. – Ale śnieg jest bardzo głęboki. A jeżeli nie zrobimy tego szybko, nawieje go jeszcze więcej. Nie dasz rady iść w śniegu sięgającym ci niemal do brody.

Marcy objęła mocniej Angie i zamknęła oczy.

Przytulona bezpiecznie do jego ciepłej piersi, mogła się w końcu rozluźnić. Oparła policzek o mocne ramię i wsłuchała się w bicie jego serca.

Marcy straciła poczucie czasu, ale zauważyła, że Lance oddycha z widocznym wysiłkiem.

Nagle zapragnęła się z nim kochać.

Wyobraziła sobie, że oddycha tak, starając się sprawić im obojgu jak największą radość.

Przeszył ją dreszcz podniecenia. Zaraz jednak uświadomiła sobie ich trudną sytuację. Wędrowali już długo. Czyżby Lance zabłądził w zadymce?

– Jesteśmy – odezwał się w tej samej chwili. – Zostawię cię na chwilę na ganku i poszukam kluczy.

Wspiął się na schody, postawił ją i odwinął koc.

– Zostań tu. Zaraz wrócę.

Zniknął, a Marcy mocniej przytuliła śpiącą Angie i rozejrzała się wokoło.

Stała przed szerokimi drzwiami. Zewnętrzne światło, prawdopodobnie z wyłącznikiem czasowym oświetlało ganek.

Robiło się zimno.

Chłód pełził od stóp w górę i przenikał jej ciało. Przysunęła się do drzwi, żeby uniknąć wiatru, i spróbowała pozbyć się obaw, że przyjście tutaj było wielkim błędem.

Lance tymczasem zmagał się z zamkiem budynku gospodarczego. Temperatura jeszcze bardziej spadła i palce miał zupełnie skostniałe. Wiedział, że spadek temperatury oznacza ustąpienie opadów śniegu. Ale wzmagający się wiatr zawieje wszystko, zmieniając świat w bezkresną, oślepiająco białą płaszczyznę.

Musi jak najszybciej znaleźć klucze i wrócić do Marcy i małej.

Zamek w końcu ustąpił i Lance sięgnął po klucze wiszące na gwoździu przy drzwiach. Zabrał je i podążył na frontowy ganek.

Okrzyżował róg domu i nie zobaczył Marcy. Boże, chyba nie zeszła z ganku w tę zamieć? Zacisnął szczęki przygotowany na najgorsze. Zawołał ją, starając się przekrzyczeć wicher.

– Gdzie jesteś?

Usłyszał stłumiony odgłos z ciemnego rogu ganku i odetchnął z ulgą. Pokonał dzielący ich dystans dwoma skokami, objął Marcy i Angie, a potem pociągnął je ku drzwiom.

Klucz łątwo wszedł do zamka i drzwi uchyliły się z lekkim tylko oporem.

– Wchodź szybko do środka – ponaglił Marcy szorstko.

Zatrzasnął drzwi, zapalił światło i wprowadził je do dużego pokoju.

– Zostańcie tu, ale nie rozbieraj się, dopóki nie podkręcę termostatu.

Odwinął je z koca i pozwolił mu upaść na podłogę.

Marcy zaróżowił się czubek nosa co, jak miał nadzieję, było dobrym znakiem. Ale wzrok miała szklisty, a policzki niewyobrażalnie blade.

Zawahał się, niepewny, od czego zacząć. Ale zaraz rzucił się w wir działania. Błyskawicznie podkręcił ogrzewanie i rozpalił ogień, błogosławiąc Bobby'ego za polana pozostawione na palenisku.

Zobaczył, że Marcy drży gwałtownie i odebrał od niej dziecko. Owinał je w gruby wełniany koc i ułożył na miękkich poduszkach sofy.

Nie wiedział, co zrobić z drżącą i szczękającą zębami Marcy. Wziął ją w ramiona, przytulił mocno i podszedł do kominka.

– Wszystko będzie dobrze – wymruczał bardziej do siebie niż do niej.

– Zaraz się rozgrzejesz. Wszystko będzie dobrze.

Zamknął oczy, modląc się, żeby to była prawda. Musi być!

Stał zapatrzony w płonący ogień. Jeszcze nigdy nie odczuwał takiego lęku. Nigdy wcześniej nic go tak nie dotknęło. Ani byki na rodeo atakujące szybciej, niż mógł uciec. Ani wierzgające konie, przy których jeden błędny ruch mógł oznaczać koniec kariery. Ani zła pogoda, ani ból fizyczny, ani samotność nie zdołały wywołać u niego podobnej reakcji.

A jednak im dłużej o tym myślał, tym był bardziej pewny, że doznaje takich uczuć już drugi raz w życiu.

Czuł się podobnie, kiedy jako ośmiolatek ojciec zostawił go w domu babki, niewyobrażalnie samotnego i przerażonego. Tym razem jednak dręczący strach był jeszcze gorszy.

Nagle zdał sobie sprawę, że ta kobieta znaczy dla niego dużo więcej, niż przypuszczał. Kropelka potu pojawiła mu się na skroni i spłynęła na szyję. Marcy poruszyła się w jego ramionach, a on dotknął policzkiem jej czoła.

– Ciepłej ci? – wyszeptał pytanie w jej włosy.

– Już lepiej.

Rozluźnił się, a jego serce odzyskało normalny rytm.

Marcy czuła się lepiej. Tak bardzo mu ulżyło, że wycisnął całusa na jej czole. Skóra pod jego wargami była ciepła i delikatna.

Zanim zdał sobie sprawę ze swoich uczuć, zapragnął jej mocno. Chciał wdychać jej zapach i dotykać jej tam, gdzie sprawiłoby jej to najwięcej radości.

– Możesz mnie już puścić – odezwała się spokojnie. – Muszę zajrzeć do Angie.

Racja. Powinien przestać marzyć o niemożliwym. Ostrożnie postawił ją na nogi i troskliwie podtrzymał.

– Naprawdę dobrze się czujesz? Chcesz wziąć gorący prysznic?

– Na razie w ogóle nie czuję stóp. – Odsunęła się od niego i podeszła do śpiącej słodko córeczki. – Ale to chyba dobry pomysł.

Marcy uklękła przy sofie i ostrożnie odwinęła wełniany koc, w który ją zawinał Lance. Mała nie otworzyła oczu. Ale kiedy matka zaczęła ją rozbierać z kombinezonu, zmarszczyła się i rozplakała.

Marcy westchnęła z ulgą.

– Chyba ma mokro i zgłodniała, ale poza tym jest w dobrej formie.

– Wiem, że Vicky schowała na strychu stare rzeczy dzieci. Nie pamiętam dokładnie, ale pewno są tam jakieś pieluszki. Ich najmłodsza pociecha ma cztery lata.

Marcy zdjęła małej buciki i rozcierała drobne stopki i rączki.

– Na razie zrobię pieluchę z rolki kuchennej – rzuciła. – Ale gdybyś znalazł butelkę, byłoby wspaniale. Będzie mi też potrzeba ciepłej wody.

Ściągnęła parkę i zostawiła ją na podłodze.

– Obu wam dobrze zrobi ciepła kąpiel. Musi ci wrócić czucie w palcach. Zgódź się. Przygotuję wszystko, a potem zobaczę, co uda mi się znaleźć na strychu.

Marcy wzięła dziecko na ręce i pozwoliła się poprowadzić do gościnnej łazienki.

Lance budował ten fragment domu i wiele decyzji podjął sam.

W końcu był tu najczęstszym gościem, więc zarówno łazienka, jak i łóżko musiały być dopasowane do jego rozmiarów.

Pokazał Marcy, gdzie leżą ręczniki, a potem sprawdził, czy terma działa prawidłowo.

Kiedy z kranów poleciała woda, jeszcze raz podziękował opatrności, że Bobby pamiętał o wszystkim, czego go nauczył. Zimą nie warto było oszczędzać opału.

Zostawił Marcy z małą w łazience, a sam rozpalił w piecu, postawił na nim garnek z wodą i poszedł na strych.

Każdy karton był dokładnie opisany, więc łatwo znalazł butelki i dziecinne naczynia. Nie zauważył natomiast pudła z pieluchami.

Pod ścianą stało rozłożone na części dziecinne łóżeczko. Zabrał naczynia, po łóżeczko postanowił wrócić później.

W ciągu dziesięciu minut umył butelki, zaparzył ziołową herbatę i przygotował gorącą wodę.

Miał nadzieję, że herbata zyska uznanie Marcy.

Kobiety lubiły takie rzeczy, a poza tym pamiętał, że łagodzi napięcie. Sam także czuł się spięty, ale nie sądził, żeby pomogła tu jakakolwiek herbata.

Zaniósł dzbanek i butelki do pokoju gościnnego i zastanowił się, co dalej.

Zapukał do drzwi łazienki.

– Przygotowałem ci herbatę, butelki i gorącą wodę. – Nasłuchiwał, ale nie usłyszał odpowiedzi. – Hej, Marcy, wszystko w porządku?

– Tak! – odkrzyknęła przez drzwi. – Mógłbyś mi je przynieść? Mam zajęte ręce.

Ma tam wejść, kiedy ona jest w wannie? Nie ma mowy!

– Postawię koło drzwi, dobrze? – Zachował się jak tchórz. Uchylił drzwi i, nie podnosząc wzroku, wsunął tacę do środka.

– Proszę. Sprawdź, czy woda dla małej nie jest za gorąca.

– W porządku, bardzo ci dziękuję.

Wcale nie był przekonany, czy podoba mu się ta rozmowa przez zamknięte drzwi, ale w tej chwili nie widział innej możliwości.

– Pójdę do samochodu po rzeczy. Poradzicie sobie beze mnie, prawda?

– Zwariowałaś? Nie wychodź, to niebezpieczne!

Czy ktoś kiedykolwiek troszczył się o jego bezpieczeństwo? Nie pamiętał takiego wypadku. Marcy martwiła się o niego. Poczł ciepło koło serca. Ale nie mógł tu stać i uśmiechać się do zamkniętych drzwi. Obie potrzebowały jego pomocy.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Zadymka już się kończy.

Wróć, zanim zauważysz, że wyszedłem.

Zanim zauważysz, że wyszedłem.

Tęskniła za nim, odkąd przekroczył próg.

Godzinę później niemal wpadła w histerię. Chciała biec go szukać, ale bała się zostawić dziecko.

W kąpieli rozgrzała się, a potem przebrała w suche rzeczy.

W kuchni znalazła puszkę mleka. Angie wypila mleko i zasnęła.

Marcy ułożyła ją na sofie przed kominkiem i obłożyła poduszkami, żeby nie spadła.

Teraz przemierzała hol, zaciskając pięści i nasłuchując dźwięku świadczącego o powrocie Lance'a.

Czyżby zabłądził w zadymce?

Był wspaniałym człowiekiem.

Doskonale rozumiała, że zrezygnował ze spędzenia Bożego Narodzenia w domu tylko dla niej.

Raczej szybko stąd nie wyjadą. Na myśl o jego bezinteresowności łzy stanęły jej w oczach.

Potrząsnęła głową. Denerwowała się, że zaryzykował życie dla zabrania kilku nieważnych rzeczy z samochodu.

Mogła o nim myśleć tylko dobrze.

Bardzo go potrzebowała.

Pragnęła z całej duszy przytulić go do serca, obdarzyć ciepłem i bezpieczeństwem. Podeszła do małej.

Lekko dotknęła jej czoła i cicho wymruczała słowa kołysanki: „Nie martw się malutka, damy sobie radę, obiecuję. ”

Skrzypnęły frontowe drzwi.

Marcy wstrzymała oddech i odwróciła się gwałtownie.

Lance zamknął drzwi i odłożył przyniesione pakunki. Zdjął kapelusz i otrzepał go o dzinsy.

Był bezpieczny. Dzięki Bogu. Jej serce zabiło szybciej.

Musiała go jak najszybciej dotknąć, upewnić się, że naprawdę wrócił.

Przebiegła dzielącą ich odległość i rzuciła mu się na szyję. Objęła go nogami w talii i obsypała pocałunkami.

Przez sekundę wydawał się zaskoczony. Ale zaraz przytulił ją mocno i zaczął całować gorąco i żarliwie.

Obrysował jej usta językiem i wypełnił ich wnętrze swoim smakiem.

Z całej duszy pragnęła dzielić z nim żar, który przenikał ją całą.

Wargi przebiegające po jej skórze nagle zwolniły. Leniwe pocałunki jeszcze wzmogły jej pragnienie.

Przeczesał palcami jego włosy, nie chciała pamiętać, że w jego życiu był ktoś inny.

Chciała ulgi, jaką może dać zbliżenie fizyczne.

Niczego więcej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z sercem tłukącym się o żebra, Lance z całych sił starał się przerwać ich pocałunek.

Odkąd się po raz pierwszy dotknęli, wystarczyło, by na nią spojrzeć, a krew gotowała mu się w żyłach. Teraz, kiedy trzymał ją w ramionach, kiedy otaczała nogami jego talię, czuł, że jego żelazna wola słabnie.

Wyobraził sobie, jak by to było zanurzyć się w tę ciepłą miękkość, i jego ciało steżało.

Ale nigdy dotąd nie zdarzyło mu się wykorzystać bezbronnej kobiety. A Marcy była najbardziej bezbronną istotą, z jaką się kiedykolwiek zetknął. Więc jego zachowanie było zupełnie niewłaściwe.

Do diabła!

Rozluźnił uścisk, pozwalając Marcy ześlizgnąć się w dół i dotknąć stopami podłogi.

– Zdejmę płaszcz, bo całą cię zamoczę i znów zmarzniesz. –

Wyswobodził się z jej ramion. – Kapie ze mnie.

Spod powiek rzuciła mu spojrzenie przepelnione tym samym pragnieniem, które rozpalało i jego.

– Przyniosłem pieluchy i ubranie dla was obu – powiedział, chociaż tak naprawdę chciał błagać: „Pozwól mi trzymać cię mocno i chronić przed wszelkim niebezpieczeństwem”, ale nie zrobił tego. Nie mógł.

– Kiedy się rozwidni, wrócę po resztę rzeczy. Teraz muszę wziąć prysznic. Rozpakujmy się i spróbujmy trochę się przespać. Jutro rano zobaczymy co z pogodą.

– Dobrze. – Marcy miała wypieki i nieprzytomnie mrugała powiekami. To, co robił, było chyba najtrudniejszą rzeczą w życiu.

– Przebiorę się i przyniosę dla Angie łóżeczko ze strychu.

Zmarszczyła brwi, ale zaraz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Łóżeczko? Wspaniale!

Spojrzała przez ramię na śpiące na sofie dziecko.

– Myślę, że Angie ucieszy się z pieluch. Użyłam papierowego ręcznika, ale chyba nie jest jej z tym najwygodniej.

No cóż, jemu też nie było wygodnie w dopasowanych džinsach. Uwierały go, przypominając o konieczności panowania nad sobą.

Do diabła!

Podał jej torbę z pieluchami.

– Wrócę za kilka minut.

Popędził na strych, przysięgając sobie nie zbliżać się do Marcy na mniej niż trzy metry przez resztę wspólnie spędzonego czasu.

Przed świtem Lance zrozumiał, że nie uda mu się zasnąć.

Kiedy zamykał oczy, natychmiast nachodziło go wspomnienie aksamitnie wilgotnych warg Marcy.

Był zbyt rozproszony, by odpocząć.

Obolały i targany pragnieniem, przewracał się z boku na bok, ale nie znajdował ukojenia w ciemności nocy. Nie miał dokąd uciec przed erotyczną wizją ich przywierających do siebie ciał.

Zazwyczaj potrafił zasnąć byle gdzie. Na rodeo zawijał się w koc na tyle własnej ciężarówki. Kiedyś nawet spędził noc na podłodze przyczepy z końmi, bo nie chciał opuścić chorego konia.

Tym razem jednak nawet wygodne poduszki zamszowej sofy nie mogły stłumić przeszywających go dreszczy. A przyczyną tego wszystkiego była Marcy. Nie był w stanie nie myśleć o niej.

Ubiegłej nocy, kiedy zniósł na dół łóżeczko dla Angie, przygotował im obu spanie w gościnnym pokoju najszybciej jak mógł.

Bał się uczuć, jakie wywoływała w nim bliskość Marcy, więc rozpaczliwie próbował trzymać się od niej z daleka.

Rano uporządkował sofę i niemal przeczołgał się do łazienki na łokciach i kolanach. Umył twarz zimną wodą, ale i to nie pomogło odegnąć niechcianych myśli. Wziął więc kolejny zimny prysznic w ciągu sześciu godzin i stał pod nim tak długo, aż zdrętwiały mu palce.

Nic nie pomagało.

Do diabła!

Nastawił kawę i przeszukał spiżarnię pod kątem śniadania. Najważniejsze to znaleźć sobie jakieś zajęcie. To powinno pomóc, przynajmniej taką miał nadzieję.

Marcy.

Niesamowita. Piękna. Wspaniała matka.

I tak dobrze się z nią rozmawia.

Była wszystkim, czym powinna być kobieta, i o wiele więcej. Ale... niezupełnie tego potrzebował w życiu. Chciał kobiety, która będzie szczęśliwa, żyjąc na ranczu.

Przez większą część swojego dotychczasowego życia odsuwał od siebie myśl o stworzeniu domu i założeniu rodziny. Nie było na to miejsca w życiu, jakie prowadził. A przynajmniej wmawiał sobie, że tak jest.

Jednak im więcej podróżował i zarabiał, tym bardziej uświadamiał sobie, że w jego życiu brakuje czegoś ważnego.

Bobby i Vicky postawili dom, Marianne i Hank założyli rodzinę i Lance zrozumiał, że on też tego chce. Miejsca wśród bliskich. Osób, dla których będzie najważniejszy.

Nigdy wcześniej tego nie miał.

Mniej więcej w tym czasie Buck Stanton wziął go pod swoje skrzydła, ofiarując mu przyjaźń, pracę i dom.

Lance skwapliwie wykorzystał tę szansę. Był zdecydowany przekształcić tę przyjaźń w coś bardzo ważnego.

Marcy była cudowna, ale wyobrażała sobie życie inaczej niż on. Dla niej dom oznaczał zamknięcie, więzienie. Zamierzała podróżować po świecie w poszukiwaniu przygód.

Nieważne, jak bardzo tego chciał, w jego życiu nie było miejsca dla Marcy i jej seksownych pocałunków.

Znalazł ciasto naleśnikowe w proszku i butelkę syropu klonowego. Na śniadanie poda naleśniki.

Pełen nadziei, że zdoła oderwać myśli od Marcy, zmieszał proszek z wodą i zaczął mieszać ciasto.

Odsunął od siebie myśli o spaniu z nią, zaczął: natomiast marzyć o własnym ranczu i rodzinie.

Wciąż jeszcze rozespana Marcy wyjęła wiercącą się córeczkę z łóżeczka i kołysała ją w ramionach.

– Cmii... kochanie, jeszcze za wcześnie, żeby wstawać.

Angie już się wyspała.

Marcy zmieniła jej pieluchę w nadziei, że jeszcze na trochę uśnie.

To była bardzo długa noc. Jedna z najdłuższych w jej życiu.

Nie mogła zrozumieć, co tak nagłe odmieniło Lance'a. Czuła, że to, co działo się między nimi, było prawdziwe i pełne pasji. Z całą pewnością miał na nią ochotę, była gotowa iść o zakład. Na wspomnienie jego czarnych oczu w chwili, gdy opuszczał ją na podłogę, coś ścisnęło ją w dołku. On z pewnością także na długo zapamięta tę chwilę.

A jednak odepchnął ją. A jego pierwsze słowa dotyczyły łóżeczka dla Angie.

Może w jego oczach była tylko matka.

Jednak czuła, że mu się podoba i że słusznie odczytuje jego pragnienia.

Być może jednak widział w niej tylko matkę. Wiedziała, że to się zdarza. Jej były mąż twierdził, że kobieta, która zostaje matką, traci zmysłowość.

Przebrała Angie, ale mała wciąż popłakiwała.

Marcy wzięła ją na ręce.

– Chodź, kochanie. Przygotujemy ci mleko. Chyba jesteś głodna.

Przeszła na palcach przez ciemny hol, próbując nie obudzić Lance'a.

Oddał im gościnny pokój, zapewniając, że sofa jest bardzo wygodna, a on przywykł sypiać gdziekolwiek.

Co do wygody na sofie miała pewne wątpliwości. Była wprawdzie duża i szeroka, a poduszki miękkie, ale z pewnością nie dorównywała królewskiemu łożu w pokoju gościnnym. Było naprawdę komfortowe, a w ciągu ostatnich miesięcy Marcy niemal zupełnie zapomniała, co znaczy to słowo.

Przy drzwiach kuchni zobaczyła światło i usłyszała szelest. Lance, odwrócony tyłem do niej, gotował coś na kuchence.

Wstrzymała oddech.

Był piękny.

Nie miał koszuli i mogła obserwować napinające się przy każdym ruchu mięśnie. Jego ciało promieniowało siłą, budzącą w niej bardzo erotyczne, dotąd nieznane tęsknoty.

Długie czarne włosy stykały się z opaloną skórą łopatek.

Były mokre, lśniące i satynowo miękkie.

Kiedy pochylił się, sięgając po coś, jej uwagę przyciągnęła wąska talia i zgrabne pośladki w dopasowanych dzinsach.

Angie, wiercąca się w jej ramionach, nie mogła widzieć tego, co tak całkowicie pochłonęło uwagę jej matki. Toteż jej popłakiwanie nagle przeszło w ogłuszający wrzask głodnego dziecka.

Lance natychmiast odwrócił się do nich.

W jego ciemnych oczach widać było głód niemal tak silny jak u Angie. Ale nie był to głód jedzenia.

To spojrzenie mogło rozgrzać najchłodniejsze nawet zmysły. A zmysły Marcy były już rozgrzane do czerwoności.

Nagle w kuchni zrobiło się za gorąco.

Lance przeniósł spojrzenie z jej stóp odzianych tylko w skarpetki na potargane włosy. Marcy zeszywniała.

Spała w dresie i skarpetach, a przed zejściem na dół nie zadała sobie trudu umycia zębów ani uczesania włosów.

No cóż. Przecież i tak nie uważa jej za seksowną... Przełknęła z trudem ślinę.

– Dzień dobry – odezwał się Lance. – Jest dosyć wcześnie, ale może zjesz śniadanie? Naleśniki są już prawie gotowe. Posadź Angie w foteliku.

– Chciałam tylko dać jej coś do jedzenia.

Wyraz jego oczu zmienił się i wydało jej się, że w jakiś sposób go rozczarowała.

– Ale naleśniki i kawa pachną tak wspaniale – dodała szybko – że jeżeli zaczekasz chwilę, nakarmię Angie i z przyjemnością zjem z tobą śniadanie.

Lance okazał się świetnym kucharzem i jedzenie było znakomite. Ale Marcy skubała je powoli, starając się z całych sił nie wpatrywać się zachłannie w nagi tors Lance'a.

W końcu wstała, by wstawić naczynia do zlewu.

– Zostaw – powiedział niskim głosem. – Ja pozmywam, a ty zajmij się małą.

Marcy postawiła naczynia w zlewie i odwróciła się do niego.

– Może zrobimy na odwrót? Ty nakarmisz Angie, a ja pozmywam?

– Mogę ją posadzić na podłodze? – zapytał z wahaniem. – Ten dom jest przyjazny dzieciom, ale nie chcę robić niczego bez twojej zgody.

Jego troska wzruszyła Marcy, ale w żaden sposób nie pomogła na mrowienie w okolicy brzucha, jakie sprowadzał ten jego aksamitny głos.

– Wytrzyj jej buzię wilgotną serwetką i niech raczkuje na podłodze.

Spoglądając przez ramię, zobaczyła, jak Lance delikatnie wyciera Angie buzię. Nagły skurcz w żołądku uświadomił jej, że nigdy dotąd nie widziała tak czułego mężczyzny.

Gdyby tylko mała mogła mieć takiego ojca...

Niespodziewana tęsknota za kimś, kto troszczyłby się o nią i Angie, uderzyła ją jak obuchem. Talerz wyslizgnał się jej z rąk i upadł na blat.

– Przepraszam.

– Nic się nie stukło, nie przejmuj się. – Lance właśnie wyjmował Angie z wysokiego krzeselka. – Czy mówiłem ci, że ubiegłej nocy Angie stanęła zupełnie sama? Może znów uda mi się ją do tego namówić, żebyś mogła to zobaczyć.

– O! – Marcy potrzebowała całej siły woli, żeby dokończyć zmywanie.

– Popracujcie nad tym, a ja się przebiorę. Zaraz wrócę.

Wychodząc z kuchni, westchnęła ciężko.

To wszystko było okropnie poplątane.

Co się stało z jej determinacją, by wywalczyć dla nich obu lepszą przyszłość? Jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło, żeby pragnienie mężczyzny, nawet nie wiadomo jak wspaniałego, wzięło górę nad wszystkim innym.

Ten mężczyzna jest czuły, troskliwy i dobry.

Na widok jego nagiej piersi dzieje się w niej coś, czego nie rozumie. A więc?

Już raz zaryzykowała, wiążąc się z człowiekiem, który chciał kontrolować jej każdą myśl i nie kochał jej wystarczająco, by zaakceptować ich dziecko. Jak więc może myśleć o przygodzie z człowiekiem gotowym poślubić niekochaną kobietę?

Potrząsnęła głową w rozgoryczeniu i zdecydowana uwolnić się od erotycznego napięcia, rozebrała się i weszła pod prysznic.

Zimna woda nie zdołała ukoić ani rozpalonego ciała, ani skołatanego serca.

Kilka godzin później Lance znowu powędrował do samochodu. Tym razem Marcy postanowiła znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Była Wigilia Bożego Narodzenia i Lance miał spędzić święta z dala od domu.

Powiedział jej wcześniej, że chociaż śnieg przestał sypać, najprawdopodobniej zdołają wykopać samochód z zasy dopiero następnego dnia.

W szafkach kuchennych znalazła popcorn i czekoladę do picia w proszku. Może zdoła mu sprawić choć trochę radości, przygotowując skromną kolację dla ich trójki.

To wydawało się realne.

Znów go długo nie było i znów się denerwowała. Podeszła do okna, ale było zupełnie zawiane śniegiem. Nic dziwnego, że chociaż było południe, wydawało się, że zapada zmierzch.

Marcy obeszła resztę okien, ale wszystkie zakrywały zaspy.

Zaczęła ją ogarniać klaustrofobia, więc wzięła głęboki oddech.

Ogarnięta twórczym zapałem, przeszukała jeszcze lodówkę i spiżarnię. Oboje powinni oderwać myśli od trudnej sytuacji.

Zanim Lance wrócił obładowany jak wielbłąd, zdążyła upiec czekoladowe ciasteczka i zgromadzić surowce na smakołyk, który zwykle przygotowywała na Wigilię jej mama.

– Mmm, co za zapachy... – Lance zrzucił w sieni płaszcz i wkroczył do kuchni.

Marcy podniosła wzrok w samą porę, by zauważyć szerokie barki i zgrabne pośladki w dopasowanych dżinsach. Zupełnie straciła wątek myśli. Cholera, to najbardziej seksowny facet, jakiego widziała w życiu!

– Piękne ciasteczka, a potem zrobię czekoladę na gorąco.

– Pysznie. A co to jest?

– Popcorn z żurawinami. Przygotuję kilka dekoracji z mąki, żeby było choć trochę świątecznego nastroju. Mam nadzieję, że Vicky nie będzie miała do mnie żalu.

– Na pewno nie. Przeciwnie, ucieszy się. Jest chyba najhojniejszą osobą, jaką znam. – Usadowił się przy stole. – Mogę ci w czymś pomóc?

Pytanie zaskoczyło ją.

Nie знаła mężczyzny, który przejmowałby się czymś tak sentymentalnym jak dekoracja świąteczna.

– Naprawdę chcesz? Skinął twierdząco.

– Tylko mi pokaż, co mam robić.

– Jasne.

Podawała mu grubą nić z igłą i wyjaśniła sposób postępowania.

Początkowo mu nie szło, ale pod czujnym okiem Marcy zaczął nabierać wprawy, pomimo że bardzo rozpraszała go jej bliskość i dotyk dłoni.

Roześmiała się, kiedy ukłuł się w palec, i ten śmiech jeszcze osłabił jego postanowienie.

Kiedy wszedł i poczuł zapach pieczonego ciasta, kolana ugięły się pod nim z radości. Właśnie tak wyobrażał sobie dom.

Nie mógł się wprost doczekać własnego maleństwa, smakowitych zapachów z własnej kuchni i kochającej żony czekającej w progu.

I nie chciał dłużej czekać.

Kiedy Marcy podeszła bliżej, z zapachem ciasteczek zmieszała się woń znacznie bardziej zmysłowa.

Rozpoznał ją, tę kuszącą mieszankę aromatu słońca i Marcy.

Powinni porozmawiać. Jej śmiech i konglomerat zapachów silnie pobudzały jego zmysły. Poddanie się temu nie było rozsądne.

– Zawsze uroczyste obchodzisz Wigilię? – zapytał.

Przez chwilę milczała, potem uśmiechnęła się smutno.

– Właściwie nigdy nie przeżyłam uroczystej Wigilii. Nie było na to pieniędzy. Mama próbowała mi to wynagrodzić, obdarowując mnie zawsze jakimś drobiazgiem. Ale dla mnie najważniejsze było to, że w święta nie pracowała i spędzała czas ze mną.

Lance pożałował, że w ogóle zadał to pytanie.

Starał się znaleźć inny temat, żeby oderwać jej myśli od minionych lat.

Wiercąc się na stołku, poczuł w kieszeni kanciaste pudełeczko z pierścionkiem.

– Nie skończyłem ci opowiadać historii tego pierścionka, prawda? –
Naniział popcorn na nitki i zaczął nawlekać następną girlandę. – To dziwna historia. Późno wieczorem po pogrzebie mojej babki szedłem ulicą w Nowym Orleanie... – Pamiętał tę scenę i bolesne uczucie straty, którego nie umiał wyjaśnić. – W głowie kłębiły mi się różne myśli. Żałowałem, że pomiędzy babką a mną nigdy nie było takiej więzi, jakiej zawsze pragnąłem.

Spojrzał Marcy w oczy i poczuł, że łączy ich coś szczególnego. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, więc powrócił myślami do tamtej nocy w Nowym Orleanie.

– Być może chodziłem wtedy w kółko, nie pamiętam. Nagle dotarło do mnie... poczułem, że nade wszystko pragnę domu i rodziny. Błąkałem się tak przez kilka godzin, marząc o domu, który mógłbym nazwać własnym.

Marcy sięgnęła po jego dłoń i nakryła ją swoją. Ale jej dotyk wprowadził go w jeszcze większe zakłopotanie. Cofnął dłoń i wstał.

– W międzyczasie przygotuję czekoladę – powiedział, odchodząc od stołu. – Chyba dam sobie radę z dwiema rzeczami naraz.

Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo chciał jej opowiedzieć tę historię. Jej bliskość rozpraszała go.

– W każdym razie – mówił dalej, wyjmując z szafki torebki z czekoladą i otwierając je – zacząłem marzyć o Montanie, bo tam po raz pierwszy w życiu poczułem się jak w domu. Wspominałem mieszkańców rancza. Bardzo chciałem, by stali się moją rodziną.

Znieruchomiał z torebkami czekolady w ręku. Wydawało się, że zapomniał o nocy w Nowym Orleanie.

– Pomyślałem, że jeżeli ożenię się z Lorną, zyskam rodzinę, o jakiej marzę. Moje życie nagle nabrało sensu. Planowałem, jak, krok po kroku, zrealizować moje sny. Postanowiłem postępować według Reguły Czterech

Kierunków Navaho. Tak miałem osiągnąć cel. Kierunek Pierwszy to Wschód. Odpowiada myśleniu. Myślałem o tym bardzo długo, właściwie całe życie. Kierunek Drugi to Południe. Odpowiada planowaniu.

Stłumił śmiech, wspominając, jak zaplanował zakup pierścionka, powrót do domu na Wigilię i oświadczyzny. Wszystko wydawało się takie łatwe.

Jego głos stał się chropowaty, ale mówił dalej:

– Zrobiło się już późno i większość sklepów była zamknięta. Nie mogłem wracać bez pierścionka zaręczynowego. Wymagał tego mój plan. Nie mogłem rozmawiać z Lorną bez pierścionka.

– Lance...

Głos Marcy przyciągnął jego uwagę, ale gestem powstrzymał ją od opuszczenia miejsca przy stole.

– Zaczekaj. Pozwól mi dokończyć. Poszedłem w kierunku sklepu, który mógł być jeszcze otwarty. Po drodze zderzyłem się ze starą Cyganką. Zatoczyła się, więc przystanąłem, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Była tak drobna i krucha, że przestraszyłem się, czy nic jej nie dolega. Ale zanim zdążyłem się do niej odezwać, zawołała mnie po imieniu.

To wspomnienie wciąż go poruszało.

– Naprawdę – wymamrotał, jakby sam siebie chciał zapewnić, że to się rzeczywiście zdarzyło. – Powiedziała: „Nie obawiaj się, Biały Orle, wszystko w porządku”. Byłem zaskoczony jej słowami. Chciałem zapytać, czy rozpoznała mnie z rodeo, ale ona wyciągnęła z kieszeni pudełeczko z pierścionkiem. „Mam coś dla ciebie”, powiedziała i wsunęła mi je do ręki.

Wpatrywał się w torebki czekolady, ale widział tamto pudełeczko.

– To było tak, jakbym wpadł w trans. Otworzyłem pudełeczko i zobaczyłem piękny pierścionek starej roboty. Byłem zdumiony, bo przecież tego właśnie szukałem.

Usłyszałem, jak stara kobieta mówi, że pierścionek jest częścią spadku należnego Lucille Steele, a po niej mnie.

Lance w zamyśleniu odłożył torebki z czekoladą i sięgnął do kieszeni po pudełeczko z pierścionkiem.

– Lucille była moją babką, ale nie potrafiłem o nic zapytać, nawet gdybym wiedział o co.

Otworzył pudełeczko i po raz kolejny wstrzymał oddech na widok klejnotu.

– Wpatrywałem się w finezyjny wzór i skrzące się kamienie, kiedy Cyganka szepnęła: „Niech ten pierścionek spełni marzenie twojego serca”. Podniosłem wzrok, ale jej już nie było. Jakby rozpułyła się w powietrzu.

Podsunał pudełko Marcy.

– Popatrz. Czyż nie jest piękny?

– Bardzo. – Marcy delikatnie dotknęła pierścionka, a Lance poniewczasie uświadomił sobie, że znów stoi zbyt blisko.

Spojrzał w dół i napotkał wzrok Marcy.

Nie patrzyła na pierścionek, tylko na niego.

Jej oczy zmieniły barwę z jasnobrązowych na bursztynowe.

Lśniły od łez jak płynne złoto.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka.

W głębinach jej oczu zobaczył przyszłe święta, skrzące się i jasne, w otoczeniu dzieci, pełne ciepła i radości.

– Lance...

Przesunął palcami po jej aksamitnie miękkim policzku, ale kiedy kciuk dotknął warg, uczucie błogiego ciepła gwałtownie zyskało na intensywności.

Pochyliła się do jego dłoni i ucałowała ją.

W Lansie eksplodowało pragnienie.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich odbicie swoich uczuć.

Iskra zamieniła się w płomień.

Zamrugął. Raz i drugi.

Była taka piękna i tak bardzo jej pragnął.

Ale to nie była kobieta dla niego. To, co widział w jej oczach, uznał za złudzenie zrodzone z pragnienia.

Odwrócił się i czar przysł.

– Muszę wyjść – wymamrotał. – Mam coś do zrobienia. Nie martw się o mnie. – Zamknął pudełeczko, odwrócił się do drzwi i uciekł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Marcy stała jak wmurowana, wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą był Lance. W głowie wciąż jej szumiało, a ciało płonęło pragnieniem.

Co się stało?

Przycisnęła dłońmi piersi, czując chłodną pustkę osamotnienia wywołanego jego odejściem.

Już dwa razy byli o krok od spełnienia jej najgorętszego pragnienia. Dwa razy Lance odepchnął ją, pozostawiając stęsknioną jego dotyku i gorących pocałunków.

Tym razem naprawdę poczuła w powietrzu baśniową magię, która wciąż jeszcze pulsowała wokół niej. Z całych sił próbowała się opanować.

Przez otaczającą ją purpurową mgiełkę przeniknął nagle płacz dziecka. Angie potrzebowała mamy tak mocno, jak ona Lance'a.

Co ma zrobić, żeby go przy sobie zatrzymać? Była pewna, że on pragnie jej równie mocno, jak ona jego. Może więc powinna przejąć inicjatywę?

Przeczesała palcami gęste, niesforne włosy, zastanawiała się, co robić.

Musi mu dać do zrozumienia, że niczego od niego nie oczekuje.

Rzeczywiście, wiązanie się na stałe było ostatnią rzeczą, jakiej mogła sobie życzyć.

Po jej wyjeździe Lance będzie mógł wracać do Montany i budować swój dom. Ale zanim się rozstaną, bezwzględnie powinni sprawdzić, dokąd ich zaprowadzi ten tak silny wzajemny pociąg.

Zmieniła małej pieluszkę, zabrała ją do kuchni i posadziła w wysokim krzeselku, które Lance przyniósł ze strychu.

– Chyba powinnam zrobić się na bóstwo, jak myślisz, córeczko?

Mała przyglądała się, jak Marcy nalewa mleka i otwiera słoiczek przecieru.

– Wiem, że mu się podobam, więc to żaden problem – powiedziała dziecku. – Założę się, że podobnie jak twój tata, nie potrafi traktować matki jak kobiety.

Marcy usiadła przy stole, mała zaczęła gaworzyć. Z zapalem opowiadała coś w tylko sobie zrozumiałym języku, a Marcy karmiła ją, nucąc.

– Nie chodzi o ciebie kochanie. On cię lubi. Widziałam, jak ci się przyglądał, kiedy nie widział, że go obserwuję. Patrzy na ciebie z prawdziwą czułością.

Dziewczynka uśmiechnęła się i jedzenie pociekło jej po brodzie.

– Kiedy mi się przygląda, ma w oczach jakąś dzikość i wydaje się trochę niebezpieczny. – Marcy zadrżała na wspomnienie dotyku Lance'a. – Chodź, kochanie, udekorujemy świątecznie kuchnię i pokój. A potem spróbuję zrobić się na bóstwo, żeby następnym razem już się nie wycofał. Zgoda?

Angie gaworzyła i bujała się w swoim krzeselku. Marcy uznała to za zgodę na wszystkie swoje plany.

Dała dziecku mleko, a potem wymyła jej buzię i rączki i pozwoliła się bawić na kuchennej podłodze.

Obie miały zamiar przyjemnie spędzić czas.

Marcy nie robiła dekoracji świątecznych, odkąd była dzieckiem. Zagniotła z ciasta bałwanki, Mikołaja i renifery i przybrała je kolorową posypką znaną w spiżarni Vicky.

Potem wyjęła rolkę folii aluminiowej, pogrzebała w zakamarkach pamięci i przypomniała sobie, jakie dekoracyjne ozdoby potrafiła z niej wyczarować jej mama. Błyszczące gwiazdki, kule, śniegowe płatki, a nawet aniołka.

Kiedy Marcy skończyła pracę, kuchnia i duży pokój były zawieszane ręcznie wykonanymi dekoracjami.

Znalazła też kilka świec i pięknie przybrała stół.

W domu pachniało wanilią i cynamonem, było w nim ciepło i przytulnie, właśnie tak jak powinno być w prawdziwe święta.

Miała nadzieję, że to, co przygotowała, spodoba się Lance'owi.

Nie było go już od kilku godzin. Niestety, nie mogła go zobaczyć przez zawiane śniegiem okna.

– Chyba na strychu jest jakieś okno – mruknęła do wiercącej się w jej ramionach córeczki. – Chodźmy sprawdzić.

Weszły na strych.

Duży pokój był ładnie wykończony, miał drewnianą podłogę i okno mansardowe.

Marcy skierowała się do okna, omijając stos bardzo porządnie poustawianych i opisanych kartonów. Ustawienie mebli sugerowało, że dzieci wykorzystują ten pokój do zabawy.

Z Angie na rękę podeszła do północnego okna.

Teren był płaski, pokryty po horyzont niebieskawym, zlodowaciałym śniegiem. Gdzieś widać było zarysy iglaków na wpół pograżonych w

śnieżnej bieli. Na widok zwieszających się z dachu sopli pomyślała o dekoracji świątecznej na zewnątrz.

Było późne popołudnie i różowofioletowe refleksy zachodzącego słońca malowniczo odbijały się w przejrzystych soplach.

Świat na zewnątrz wyglądał baśniowo.

Zauważyła ślady prowadzące poza zasięg jej wzroku. Oddalały się, ale nie wracały.

Lance powiedział, żeby się nie martwiła. Spróbowała więc zająć myśli czymś innym.

Odwróciła się do przytulnego wnętrza pokoju. Zobaczyła duże czarne worki plastikowe schowane w kącie i zupełnie nie pasujące do tego uporządkowanego miejsca.

Podeszła bliżej i dostrzegła kartki z opisem ich zawartości.

– Popatrz, Angie – odezwała się z roztargnieniem. – To rzeczy naszykowane do oddania. Obejrzymy je? Są posegregowane według wieku.

Jeden z worków opisano „Dziewczynka – dziesięć, jedenaście miesięcy”.

– Chyba Vicky nie miałaby nic przeciwko temu, żebyśmy do niego zajrzały? Może znajdziemy coś dla ciebie?

Na samej górze znalazła dwie pary spodni i sweterek pasujące na Angie. Wyciągnęła też prześliczną czerwoną sukienkę przybraną białym futerkiem o kształcie choinki, tylko trochę za dużą na Angie.

– Ubiorę cię w to na wieczór, kiedy wróci Lance. Mała gaworząc sięgnęła do policzka Marcy.

– Ma... ma...

Marcy roześmiała się i mocno przytuliła córeczkę.

– Kochanie, powiedziałaś całe słowo. Brawo!

Jej uwagę zwróciły prześliczne dziewczęce ciuszki, o których domyśliła się, że należały do młodej Vicky.

Były tam eleganckie sukienki i buty, fantazyjne swetry i kilka satynowych szat.

Wstrzymując oddech, Marcy wyciągnęła seksowną czarną suknię obszytą błyszczącymi kryształkami.

Nigdy w życiu nie widziała nic tak pięknego i... seksownego.

Przyłożyła suknię do siebie i uśmiechnęła się, zadowolona.

– Chyba pasuje. Teraz obie możemy się wystroić jak na Wigilię przystało. Chodź, kochanie, weźmiemy kąpiel z bąbelkami i przemienimy się w prawdziwe damy.

Zanim wrócił Lance, Marcy zdążyła spędzić pół godziny w pachnącej kąpeli i ubrać siebie i małą w eleganckie ciuszki.

Upięła swoje niesforne loki, a dziecięco miękkie kosmyki Angie odgarnęła do tyłu i umocowała spinkami.

Na kuchence perkotał sos do spaghetti i wszystko było gotowe do kolacji.

Wygładziła zmarszczki na białym fartuszku, który założyła na sukienkę. Wyprostowała się i wyszła zobaczyć, co Lance tak długo robi przy drzwiach. W holu coś zatarasowało jej drogę.

– A co to takiego?

Nieco zduszony głos Lance'a dobiegał zza rozgałęzionej sosny zajmującej większą część holu:

– Choinka. Zobaczysz, jaka piękna.

– Jak ci się udało ją kupić?

– Wcale jej nie kupowałem. Bobby ma kępę choinek na swoim terenie. Wyciąłem jedną. Nalej wody do tego wiadra, a ja postawię drzewko w pokoju.

Zrobiła, o co prosił, i po chwili choinka była gotowa.

Razem udekorowali ją błyszczącymi kulami i łańcuchami popcornu.

Sosnowy zapach jeszcze wzmocnił wigilijny nastrój.

– Jak pięknie... – Marcy cofnęła się, podziwiając drzewko i zdjęła fartuszek. – Co cię skłoniło, żeby o tym pomyśleć?

– Nigdy wcześniej nie miałem choinki i kiedy je zobaczyłem, pomyślałem, że może dzięki choince te święta będą dla was obu szczególne.

– Obrzucił spojrzeniem pokój, a potem zatrzymał wzrok na Marcy. – Ale najpiękniejsza jesteś ty. Wyglądasz wspaniale!

Uniosła dłoń, żeby poprawić niesforny kosmyk,

I spróbowała się uśmiechnąć.

– Znalazłyśmy z Angie na poddaszu rzeczy, które Vicky przeznaczyła do oddania. Mam nadzieję, że nie będzie miała nic przeciwko temu, że je przymierzyłyśmy.

Obróciła się na pięcie, żeby mógł obejrzeć sukienkę.

– Podoba ci się?

Podszedł bliżej i delikatnie odgarnął jej inny loczek za ucho.

– Wyglądasz fantastycznie. Żałuję, że nie mogę skoczyć do sklepu. Bardzo pasowałyby ci mieniące się kolczyki. – Obrysował palcami płatki jej uszu, lekko pocierając wrażliwą skórę. – Chociaż jesteś przecież taka piękna, że nie potrzebujesz żadnych błyskotek. Sama jesteś jak najcenniejszy klejnot, jak brylant.

To były najmilsze słowa, jakie Marcy kiedykolwiek usłyszała.

Przełknęła łzy i odsunęła się od niego.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że jesteś głodny, bo przygotowaliśmy specjalną świąteczną kolację. Skoro już jesteś, możemy siadać do stołu.

Wzięła go za rękę i pociągnęła do kuchni.

– Nie zapomnij pochwalić Angie. Ona jeszcze nigdy nie miała takiej ładnej sukienki i potrzebuje twojej aprobaty.

– To wszystko, te dekoracje, kolację, stroje – zrobiłyście to dla mnie?

– Chciałam, żebyś wiedział, że jest mi przykro, że przez nas nie możesz spędzić świąt z rodziną w Montanie. I widzę, że było warto.

Wzrok Lance'a zamglął się. Chcąc odegnać sentymenty, zrobił wiele szumu wokół nowej sukienki Angie.

– Czy poczekacie jeszcze chwilę, drogie panie? Wykąpię się błyskawicznie. Za bardzo kontrastuję z wami wyglądem.

Musiał mieć czas, żeby dojść do siebie. Inaczej nie zdoła przetrwać tej kolacji.

Kiedy zmyli naczynia i posprzątała po kolacji, Marcy zaniósła senną Angie do łóżeczka.

Utuliła ją do snu, a Lance dołożył do kominka w pokoju i włączył płytę CD z kolędami.

Miło odprężony, usiadł na sofie przed kominkiem, a Marcy wkrótce do niego dołączyła.

– Wspaniale to wszystko przygotowałaś. Jestem przekonany, że kolacja w Montanie nie dorównywała twojej.

W migocącym blasku ognia zobaczył, że zarumieniła się z radości. Rumieniec pokazał się też na szyi i ramionach.

To było dla niego zbyt wiele. Był o krok od porwania jej w ramiona i okrycia pocałunkami.

Sukienka leżała na niej jak druga skóra. Czarna i połyskliwa przy jej bladej karnacji, nadawała Marcy bardzo seksowny wygląd.

Zastanawiał się, co włożyła pod spód.

– Rozmawiałem z jednym z sąsiadów Bobby'ego i Vicky – powiedział, zamiast słuchać podszeptów swojego ciała. – Ze Stanem Ottwellem. Jechał skuterem śnieżnym i widział, jak wycinałem drzewko.

– Zdenerwował się?

– Nie, znałem go już wcześniej. Opowiedziałem mu, co się stało i dlaczego tu jesteśmy. Słyszał, że autostradę otworzyli ponownie dziś rano, a pługi mają pracować do jutra. – Patrzył w oczy Marcy, teraz rozszerzone i barwy bursztynu. – Obiecał, że jutro przyprowadzi traktor i wyciągnie mój samochód z zasy.

– Tak szybko? – Przysunęła się bliżej i poczuł bijące od niej ciepło.

– Mhm. Droga do Cheyenne zajęła nam strasznie dużo czasu. – Ścisnął i rozprostowywał pięści, jakby chciał uwolnić od napięcia wywołanego płonącym w nim żarem.

Ściągnął łopatki i trochę się od niej odsunął.

– Zdaje się, że jutro będę cały sztywny od pracy piłą. Ostatnio brak mi praktyki.

Marcy zsunęła buty i uklękła za nim na sofie.

– Odwróć się. Zrobię ci masaż.

Zmieniając pozycję, pokręcił głową drwiąc z własnej głupoty.

Obolałe mięśnie? Co za głupia wymówka! Jeszcze jeden nie trafiony pomysł.

Marcy zaczęła masować mu barki, a każde miejsce którego dotknęła, płonęło żywym ogniem.

Tak. To nie był dobry pomysł.

– Och Marcy...

Złagodziła nacisk i przesunęła dłonie na jego ramiona.

Atmosfera w pokoju zmieniała się. W powietrzu unosił się zapach sosny i wanilii.

Lance nie miał siły opierać się dłużej.

Zsunęła rzemyk z jego włosów, odgarnęła luźne pasma, musnęła wargami kark i przylgnęła piersiami do pleców.

Jeżeli miał się nie poddać, musiał się uwolnić natychmiast, ale nie miał siły jeszcze raz patrzeć na jej rozczarowanie.

Wstając, wyciągnął do niej rękę.

– Zatańcz ze mną.

Zdziwiona, skinęła głową. Westchnęła, kiedy przyciągnął ją bliżej. Prowadził ją w takt powolnego walca do cichej i melancholijnej melodii płynącej z płyty CD.

Kiedy tak się poruszali w jednym rytmie, Lance zapomniał o tym, co zamierzał zrobić. Ich ciała przylgnęły do siebie. Dwa pragnienia złączone w rytmie muzyki.

Pochylił głowę i pocałował ją w skroń. Znow poczuł ten tak bardzo erotyczny zapach słońca.

Jęknęła cichutko. Lance natychmiast uświadomił sobie wszystko i cofnął się, wypuszczając ją z objęć.

Uniosła ku niemu twarz ze zmieszaniem i rozczarowaniem wyraźnie widocznym w oczach.

– To moja wina, prawda? – szepnęła. – Nie wiem, co robię źle. Czy to dlatego mnie odpychasz, że jestem matką?

– Co takiego? – Nie mógł znieść wyrazu bólu na jej twarzy. – Porozmawiajmy. – Otoczył ją ramieniem i poprowadził ku sofie.

Zaczął mówić, jak tylko usiedli, nie chcąc, żeby zaczęła sobie wyobrażać najgorsze.

– Skąd ten pomysł, że robisz coś złego? Prawdopodobnie nie umiałabyś zrobić nic złego, a ja szanuję cię bardziej, niż umiem to wyrazić.

– Ale...

Uniósł palec i położył jej na wargach.

– Pozwól mi dokończyć. Jesteś wspaniałą matką. Nie wyobrażam sobie lepszej.

Opuściła brodę, więc delikatnie uniósł ją kciukiem i palcem wskazującym.

– Posłuchaj, proszę. Zmagasz się z przeciwnościami losu z wdziękiem i dobrym humorem. Niewiele osób obu płci potrafiłoby przejść przez to, co ty, bez użalania się nad sobą. A od ciebie nie słyszałem nawet słowa skargi. Jesteś wspaniałą osobą, Marcy. Znalazłaś swój sposób na życie i podziwiam cię za to. Zanim ja zdołałem zdecydować, czego chcę w życiu, minęło dobrych kilka lat.

Spojrzała mu w oczy z gorącą obietnicą.

– W takim razie... dlaczego? Nie podobam ci się? Dotknął jej twarzy.

– Wiesz, że cię pragnę. Jesteś najbardziej seksowną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Czujesz przecież, co się dzieje, kiedy się dotykamy. – Napięcie groziło eksplozją. – Ale chcemy od życia różnych rzeczy. To nie zabawa. Za dzień lub dwa rozstaniemy się na zawsze. Nie chciałbym...

Teraz Marcy położyła mu palec na wargach.

– Wiem to wszystko. Ale ja nie oczekuję długiego, poważnego związku. – Uśmiechnęła się do niego. – To nie znaczy, że wskakuję facetom do łóżka przy pierwszej okazji. Tak naprawdę to spałam tylko z jednym. Ale

musisz przyznać, że między nami jest coś wyjątkowego i powinniśmy coś z tym zrobić, zanim będzie za późno.

Położyła mu dłoń na piersi, wyczuwając łomotanie jego serca.

– Czuję, jak reagujesz na mój dotyk. Moje ciało odpowiada tak samo już na twoją obecność w tym samym pokoju.

Pochyliła się i pocałowała go lekko.

– Proszę, Lance! Spróbujmy przeżyć coś pięknego. Daj mi szansę.

Ogień trząsał na kominku, a Lance próbował stłumić ogarniający go żar.

Jednak granice, które sobie wytyczył, zaczęły znikać, a cała jego samokontrola rozwiała się jak chmura dymu.

Jedną dłonią nakrył jej policzek, a drugą objął kark i delikatnie zgłębiał słodkie sekrety jej warg.

Smakowała czekoladą i cynamonem, słońcem i wanilią, co go zupełnie urzekło.

Z głębokim westchnieniem zwolnił samego siebie ze ślubów czystości, by złożyć zupełnie inne.

Wyciągnął grzebień z jej włosów i zachwycił się ich jedwabistą miękkością.

– Masz przepiękne włosy. Chyba wolę je rozpuszczone.

Z uśmiechem pomogła mu wyjąć resztę grzebyków.

Potrząsnęła głową i w powietrzu zawirowała złota chmura.

– I chyba masz na sobie za dużo rzeczy...

Trzymał ją w mocnym uścisku, okrywając jej wargi pocałunkami pełnymi pasji i determinacji.

Kiedy zawładnął nią z siłą i żarem, doznała uczucia paniki. Pragnienie napotkało pragnienie, pasja splotła się z pożądaniem.

Całował ją coraz mocniej i głębiej, a ona otwierała się dla niego. Całe ciało nabrzmiało pragnieniem i oczekiwaniem.

Zapragnęła go zobaczyć nagiego, więc drżącymi z niecierpliwości dłońmi zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. Lance nakrył jej dłonie swoimi i pomógł jej.

Szeroka opalona pierś oświetlona blaskiem ognia zachwyciła Marcy. Tego nie wyobrażała sobie nawet w najdzikszych i najbardziej erotycznych fantazjach.

Był wspaniały. Poza wszelką konkurencją.

Lance nie dał jej dużo czasu. Przygarnął ją i pocałował z dziwną mieszaniną czci i pożądania.

Nie przerywając pocałunku, sięgnęła po jego dłoń i położyła sobie na piersi, próbując w ten sposób ukoić dręczące pragnienie.

Teraz on jęknął, dotykając jej nagiej skóry. Wsunął kciuki pod delikatny materiał i zsunął go z jej ramion.

Jego oczy płonęły, gdy Marcy delikatnie poruszyła biodrami i tkanina miękko sfrunęła na podłogę.

Cała rozplomieniona, Marcy wystąpiła z sukienki, zwalczając w sobie pokusę osłonięcia piersi dłońmi. Opuściła ramiona wzdłuż ciała, pozwalając Lance'owi delektować się tym widokiem.

Nie nosiła staniczka, więc jej nagość osłaniały tylko skape, prawie przezroczyste majteczki.

Ale to, co robiła, nie wdawało się jej naganne.

Przeciwnie.

Sposób, w jaki Lance leniwie błędził po niej spojrzeniem, sprawił, że wyprostowała się i upajała ciepłymi, pełnymi pasji wibracjami, które ku niej wysyłał.

Samo patrzeć nie wystarczało.

Zrobiła krok w jego kierunku.

Pochwycił ją w objęcia i obsypał pocałunkami. Poprowadził ją ku przeżyciom, które do tej pory istniały tylko w jej wyobraźni. Przeczuwała to i w niepoohamowanym pragnieniu chciała, by już się stało.

Objęła go za szyję i wyruszyli w drogę ku gwiazdom.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Spokojnie – szepnął – spokojnie... – Próbował uspokoić ich oboje tak, jak robiłby to z płochliwym żrebakiem.

Ale jego ciało nie chciało słuchać.

Marcy też niezupełnie o to chodziło.

Jego serce zabiło mocno, kiedy posłała mu bystre spojrzenie i żartobliwy uśmiech. Jej zmysłowość zapierała mu dech w piersiach i sprawiała, że pławił się w upajającej namiętności.

Przyciągnął ją do siebie i ucałował pełne, różowe wargi.

Zagubił się pod dotykiem jej pieszczotliwych dłoni gładzących rytmicznie jego nagie ramiona.

Przebiegając dłońmi po jej ciele, wyszukiwał najwrażliwsze miejsca. Nakrył jej piersi dłońmi. Pasowały doskonale. Pieścił je delikatnie, czując, jak reagują na jego dotyk.

Obiecał sobie powstrzymać swoje żądze i przede wszystkim Marcy obdarować radością zbliżenia.

Jej dłonie błędziły już przy pasku jego dżinsów, więc jeszcze raz powtórzył w duchu daną sobie obietnicę. Ale ona musnęła dłonią okolice rozporka i postanowienie rozplynęło się jak mgła.

Było pięknie jak nigdy przedtem.

W głębi duszy czuł, że już nigdy niczego podobnego nie przeżyje.

Potem leżeli ciasno przytuleni. Marcy próbowała uspokoić oddech.

– Och, to było... było... Uśmiechnął się.

Ale jedno chciał wiedzieć. Delikatnie pocałował ją we włosy.

– Marcy, powiedziałaś mi, że nigdy... no wiesz... że przedtem...

– Tak. Nigdy przedtem nie przeżyłam spełnienia. To był mój pierwszy raz.

– Ale przecież byłaś mężatką. Urodziłaś dziecko. – Na myśl o tym, co musiała przejść, czuł smutek.

Marcy uniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Możesz być z siebie dumny. Przeżyliśmy coś wspaniałego i niezapomnianego. Coś magicznego.

Westchnęła. Jej oddech uniósł włoski na jego piersi.

Znów był podniecony i chciał się z nią kochać. Obawiał się, że już zawsze będzie chciał tylko jej.

Marcy przebiegła palcami wzdłuż jego ramienia.

Obdarował ją najwspanialszym seksem w życiu. I był tak bardzo czuły.

Przytuliła głowę do jego serca bijącego w rytmie jej własnego.

Lance odgarnął jej z czoła niesforny, wilgotny loczek. Oboje byli spoceni, ale Marcy nie przejmowała się tym wcale.

Mieli dla siebie jeszcze przynajmniej jeden dzień.

Chciała mu powiedzieć wiele rzeczy. Powinien o nich usłyszeć, zanim rozstaną się na dobre.

Ale jeszcze nie teraz.

Na myśl o rozstaniu zadrżała.

– Zimno ci? – zapytał. – Jeżeli wytrzymasz chwilę beze mnie, dołożę do ognia i przyniosę jeszcze kilka koców.

– Będziemy spać tutaj? – Pytanie to wysnęło się jej, zanim zdążyła je zachować dla siebie.

Co prawda, nigdy nie pomyślałaby o spaniu na podłodze w domu pełnym wygodnych łóżek.

– Nie przeszkadza ci to? Obiecuję, że nie pozwolę ci zmarznąć.

Marcy przyglądała się jego twarzy w świetle ognia. Uśmiechał się, ale w oczach miał smutek i tkliwość. Fascynujące połączenie.

Ucałowała go w czubek brody.

– To jedyne miejsce na świecie, gdzie chciałabym spędzić tę noc – szepnęła mu do ucha. – Ale najpierw muszę zajrzeć do Angie.

Skinał głową i pomógł jej stanąć na drżących nogach.

– Wracaj szybko – powiedział i pocałował ją zachłannie.

Kiedy w końcu wysunęła się z jego objęć i powędrowała do pokoju gościnnego, serce tłukło się jej w piersi jak szalone. Nie może mu powiedzieć, jak bardzo jej na nim zależy. Była o krok od zakochania się, ale nie mogła utrudniać rozstania, mówiąc mu o tym.

Angie spała spokojnie w swoim łóżeczku.

Marcy zrobiła jej na czole znak krzyża i zmówiła krótką modlitwę.

Córeczka była dla niej najważniejsza na świecie.

Dopóki w ich życie nie wkroczył Lance.

Sprawdziła, czy w pokoju jest wystarczająco ciepło, a w łóżeczku nie ma żadnych drobnych przedmiotów.

Potem poszła do łazienki, by przemyć twarz zimną wodą. Zapaliła światło i wpatrzyła się w nagą kobietę widoczną w dużym lustrze.

Oczy błyszczały jej zmysłowo, piersi miała jędrne i sterczące.

Przesunęła palcem po pełnych wargach, teraz mocno zaczerwienionych od pieścizot Lance'a. Wyglądała jak dzikuska.

Bez powodzenia spróbowała przyglądać włosy szczotką, ale skończyło się na wpięciu spinek za uszy.

Kiedy Lance pojawił się za jej plecami, prezentowała się w całej okazałości z rękami uniesionymi do włosów.

Zamarła w bezruchu, a jego oczy pociemniałe i zwężone w szparki obserwowały ją w lustrze.

Na widok ich odbicia w lustrze poczuła napływ adrenaliny. Ciemność i światło. Noc i dzień. Kontrast. Ying i Yang. Moc i piękno.

Natychmiast zalała ją fala pragnienia.

Cichutko podszedł bliżej i jej serce zadrżało. Pochylił się i pocałował ją w kark, na co jej ciało odpowiedziało z niekłamanym entuzjazmem.

Mocną opaloną ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Przymknęła oczy i oparła głowę na jego piersi.

– Kochanie... – szepnął jej do ucha. – Otwórz oczy i popatrz.

Oszołomiona, ale zdecydowana zrobić, o co prosił, Marcy uchylła ciężkie powieki. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

W oczach Lance'a płonął niebezpieczny ogień. Zdołała jeszcze dojrzeć własne źrenice rozszerzające się pod wpływem jego pieśczości. Potem zalała ją fala ciepła i z całych sił przylgnęła do niego.

Długo wracali do przytomności.

Wciąż jeszcze odzywało się w obojgu echo spełnienia, kiedy Lance delikatnie odwrócił ją do siebie.

– W porządku? – zapytał, całując ją w skroń. Marcy mocno objęła go za szyję.

– Wspaniale. Jeszcze nigdy tak nie było. Roześmiał się i przyciągnął ją bliżej.

– Podoba mi się, jak się rumienisz od moich słów i... dotyku. Lubię patrzeć, jak ci błyszczą oczy. I wciąż nie mogę się tobą nasycić.

Oparła czoło o jego pierś. Pochylił się, żeby ją pocałować, i spostrzegł znak zębów na jej skórze.

– O...

Spojrzała na niego pytająco.

– Zostawiłem ci znak. Ugryzienie.

Poprowadził ją pod prysznic. Odkręcił wodę.

– Tak mi z tobą dobrze...

– O to mi chodziło. – Zaczął ją namydlać. Mgiełka drobniutkich kropelek otoczyła ich dookoła.

Kochali się ponownie i znowu było pięknie.

Lance zakręcił wodę i owinął Marcy i siebie dużymi ręcznikami.

Półprzytomną zaniósł z powrotem na posłanie przed kominkiem.

Z erotycznego snu obudził ją przenikliwy głos dziecka.

Wyciągnęła rękę do Lance'a, ale namacała tylko koce.

W nocy budziła się kilka razy, czując dotyk jego gorących ust na piersiach. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmysłowa i pożądana. Tulili się do siebie mocniej i mocniej, wciąż szukając wzajemnego ciepła i bliskości.

Zamrugła.

Ogień płonął. Widocznie Lance dołożył do kominka. Ale gdzie jest teraz?

Postanowiła wstać i zajrzeć do Angie.

Kiedy się poruszyła, jej mięśnie przeszył rozkoszny ból. Uśmiechnęła się do wspomnień i wstała, owijając się kocem.

Zerknęła na sofę, spodziewając się znaleźć stertę ich skłębionych ubrań.

Zamiast nich zobaczyła jasnoróżową szatę z przyczepionym liścikiem od Lance'a: „Nie jestem pewien, czy będzie pasować, ale taki kolor ma twój rumieniec. Przymierz i przyłącz się do nas. Wesołych Świąt Bożego Narodzenia, kochanie. ”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marcy owinęła się w miękką szatę i westchnęła z przyjemnością. Delikatny różowy materiał pachniał nowością. Jeszcze nigdy nie miała nic tak pięknego.

Znów rozległ się przenikliwy wrzask i Marcy skierowała się do kuchni.

Widok, jaki pojawił się przed jej oczami, sprawił, że stanęła jak wryta i potrząsnęła głową.

Lance stał tyłem do niej przy kuchni, jedną ręką łaskocząc roześmianą Angie, a drugą mieszając coś w garnku.

Nie sądziła, że dane jej będzie zobaczyć coś takiego.

Mężczyzna opiekujący się jej córeczką?! Był wspaniały.

Nigdy nie spotkała nikogo takiego. Walcząc ze zbierającymi się w gardle łzami, Marcy –podeszła bliżej. – Jak się macie? – zapytała niepewnym głosem. Lance odwrócił się i uśmiechnął.

– Cześć, śpiochu. – Odłożył łyżkę na blat i przygarnął ją wolną ręką.

Hebanowe oczy błyszczały rozbawieniem, ale w ich głębi wciąż czaiło się palące pragnienie.

Miał na sobie koszulkę i dzinsy opuszczone nisko na biodra.

Wszystkimi nerwami odbierała wibracje jego ciała.

Wtulila się w niego. W głowie miała zamęt. Pachniał tak zmysłowo i mocno ogarniał ją sobą. Na wspomnienie nocnych przeżyć znów poczuła się pożądana.

Z tymi odczuciami mieszały się inne.

Angie gaworzyła, tak swobodna i szczęśliwa w towarzystwie Lance'a, jak do tej pory bywała tylko z mamą.

Marcy oładnęła nieuświadomiona tęsknota.

– Widzę, że znalazłaś swój prezent – powiedział, całując ją czule w czubek głowy. – Wyglądasz tak ślicznie, jak się spodziewałem.

Przygryzła wargę, usiłując powstrzymać zalewającą ją falę uczucia i odzyskać mowę.

– Och, Lance, dziękuję z całego serca. Jest piękny. Bardzo mi się podoba. Ale skąd...

– To nic takiego. W bazie autobusów spotkałem przedstawiciela handlowego tej firmy i poprosiłem go o próbkę. To wszystko.

– Kupiłeś mi prezent już wtedy?

– Ten kolor bardzo do ciebie pasuje. I pomyślałem, że coś ciepłego przyda ci się w podróży.

To przepełniło czarę.

Marcy odsunęła się od niego, wydmuchując nos i połykając łzy. Nikt nigdy nie zrobił dla niej nic ani w połowie tak miłego.

– Owsianka gotowa. Posadź Angie w foteliku, a ja naleję.

Odetchnęła głęboko i odebrała od niego córeczkę. Ale mała rozplakała się i wyciągnęła rączki do Lance'a.

– Chyba się polubiliście – powiedziała bardziej radośnie, niż powinna.

Lance uśmiechnął się, stawiając na stole dwie miseczki.

– Jesteśmy dobrymi kumplami. Marcy posadziła Angie i usiadła.

– Ubrałeś ją w świąteczną sukienkę i... – Po raz kolejny jej głos załamał się.

Lance wzruszył ramionami i podał małej butelkę.

– Mamy święta. Pomyślałem, że musi ładnie wyglądać. – Pochylił się i pocałował Marcy w policzek. – Przepraszam za owsiankę, ale nie ma zbyt dużego wyboru. Dodałem cynamonu i orzechów włoskich ze spiżarni Vicky.

– Jest pyszna, naprawdę.

– Smacznego. – Przesunął palcem po jej policzku i szyi. –I dziękuję ci za tę niezapomnianą noc.

Zaczerpnęła powietrza, zastanawiając się, jak zdoła cokolwiek przełknąć przez dławiące ją łyzy.

Ten mężczyzna był niesamowity.

Uratował je ze śnieżycy. Zrezygnował ze spędzenia Bożego Narodzenia w domu. A teraz ze wszystkich sił starał się sprawić im radość. W dodatku uświadomił jej własną zmysłowość, o której dotąd nie miała pojęcia. I jeszcze dziękował jej za tę wspaniałą noc?

Lance zjadł kilka łyżek owsianki i spojrzał na Angie.

– Nakarmiłem ją, zanim wstałaś. Ale chyba wciąż jest głodna.

W oczach dziecka płonęło to samo ciepłe uczucie do tego mężczyzny, którego doświadczała sama.

– Po prostu czuje się opuszczona. My jemy, a ona się przygląda.

– Aha. W takim razie może to jej poprawi humor. – Podał małej jakiś zapakowany przedmiot, którego Marcy wcześniej nie zauważyła. – Proszę, malutka. Wesołych świąt.

Oczy Angie robiły się coraz większe i bardziej okrągłe, a potem pojawiła się w nich, skierowana do mamy, niema prośba o pomoc.

– Angie nie wie, co to jest prezent. Chyba muszę jej pomóc rozpakować.

Serce Lance'a biło głośno, kiedy patrzył na twarzyczkę Angie obserwującą wyłaniającą się z paczki lalkę, śliczną blondynkę z niebieskimi oczami, przypominającą prawdziwe dziecko. Kupił ją od razu, jak tylko ją zobaczył w sklepie w bazie ciężarówek.

– Och, Lance. – Marcy rozpakowała lalkę i podała ją córeczce. –
Angie jeszcze nigdy nie miała lalki. Jesteś wspaniały.

Potrząsnął głową.

– Nic o tym nie wiem. Po prostu chciałem, żeby ją miała.

Angie przyglądała się lalce przez długą chwilę, a potem wycelowała palec w czubek jej nosa.

– Ba! – pisnęła.

– Zgadza się, córeczko, to twoja lalka. – Zwilgotniałe oczy Marcy lśniły uśmiechem.

– Ona chyba próbuje mówić. – Lance z ciekawością przyglądał się małej.

– Chyba tak. Wczoraj powiedziała „ma”, to pewno miało znaczyć „mama”.

Angie pochyliła główkę, przyłożyła usteczka do buzi lalki i cmoknęła głośno.

– Och, kochanie... – Marcy była wzruszona. – Musimy nadać jej imię. Co powiecie na „Baby”?

Oczarowana mała dziewczynka przytuliła lalkę z całych sił.

– Ba.

Lance oniemiał.

Pochwycił Angie razem z lalką w ramiona i odtańczył z nimi radosny taniec. Pierwszy raz w życiu czuł, że balansuje na krawędzi. Pomyślał, że gdyby ktoś kiedykolwiek zranił to niewinne dziecko, jego wściekłość i zemsta byłaby niezmiernie wielka. Byłby zdolny zabić, a także poświęcić życie w jej obronie.

Marcy wstała i wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek.

– Bardzo, ale to bardzo ci dziękujemy za pierwszą lalkę w życiu Angie.

Jej ciepła pierś otarła się o jego ramię.

Gorące pragnienie przeszło go i zmieszało się z uczuciem dla małej.

Zagmatwane było to wszystko.

Przez chwilę analizował te rozbieżne i zupełnie nowe doznania.

Pożądanie to jedno. Pragnął Marcy niemal od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Ale było też coś innego.

Przyszło mu do głowy, że te uczucia wywołuje w nim wrażenie posiadania rodziny. Właśnie za tym zawsze tęsknił – za radością prawdziwego domu i najbliższych.

Przez kilka następnych godzin bawili się z małą, a potem wspólnie z Marcy ułożyli ją do drzemki.

Czas biegł za szybko, a Lance bardzo chciał zapamiętać i smakować każdą chwilę. Nie miał zamiaru zadowolić się w życiu czymś skromniejszym niż to, co właśnie przeżywał.

– Właśnie taki dom mam zamiar zbudować na ranczu – powiedział, wykonując szeroki gest ręką.

Usuwali świąteczne dekoracje, sprzątajac dom przed wyjazdem.

– Pierwszy raz obchodziłem święta w ten sposób, ale z pewnością nie ostatni.

Marcy odłożyła świecę do pudełka.

– Lance, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. To taki sam dobry moment jak każdy inny. Usiądźmy na chwilę. – Jej głos brzmiał poważnie i trochę smutno i zabolalo go, że nie domysla się, o co mogło chodzić.

Podszedł za nią do stołu i wysunął dla niej krzesło. Swoje obrócił i siadł na nim okrakiem.

– Słucham. Co się dzieje?

Złożyła dłonie na stole i spojrzała na nie.

– Chcę ci przekazać to, co wiem o małżeństwie – odezwała się, nie podnosząc wzroku. Zaciekawiony, ale i podenerwowany tym, co miał usłyszeć, skrzyżował ramiona na oparciu krzesła. Pochylił się w jej stronę.

– Mów.

– Moi rodzice pobrali się, bo miałam się urodzić – zaczęła cicho. – Nie jestem pewna, czy wtedy się kochali. Kiedy podrosłam na tyle, by dostrzegać pewne rzeczy, zrozumiałam, że nie. Mój dom nie był szczęśliwy. Ojciec spędzał dużo czasu poza domem. Kiedy wracał, pił i wrzeszczał. Teraz wiem, że pił, bo był nieszczęśliwy. Obarczony kobietą i dzieckiem, których nie kochał.

Marcy spojrzała na niego, a rozpacz w jej oczach niemal rozdarła mu serce.

– Kochanie, jeżeli tak cię to boli, nie mów o tym.

Uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

– To jest ważne i chcę, żebyś posłuchał.

Skinął głową i Marcy mówiła dalej:

– Kiedy miałam osiemnaście lat, do miasteczka przyjechał pewien człowiek. Był wędrownym sprzedawcą książek dla szkół i bibliotek. Ale mnie wydał się najbardziej czarującym i światowym mężczyzną we wszechświecie. – Przerwała i przełknęła ślinę. Słowa wydawały się ją dławić. – Opowiadał mi o miejscach, w których był, i tych, które zamierzał odwiedzić. Znałam go zaledwie miesiąc, kiedy poprosił, żebym za niego wyszła i wyjechała zwiedzać świat. Nie kochałam go, ale tak bardzo chciałam opuścić dom i podróżować, że się zgodziłam.

– Ale mówiłaś, że nigdy nie podróżowałaś – przerwał jej. – Kiedy się spotkaliśmy, mówiłaś, że dopiero masz zamiar poznać świat.

– Tak – odparła cicho. – To całe małżeństwo okazało się kiepskim żartem. Zabrał mnie do Minneapolis i powiedział, że powinnam pracować i oszczędzać, żebym kiedyś mogła z nim wyjechać. Byłam zdziwiona, ale zgodziłam się. Myślałam, że to sytuacja tymczasowa.

Marcy zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Od tamtej chwili wszystko szło źle. Ale to długa i smutna historia i nie ma potrzeby, żebyś jej wysłuchiwał. Chcę ci tylko powiedzieć, że ślub z kimś, kogo się nie kocha, jest złem.

– Marcy... – Nie wiedział, co jej powiedzieć, ale bolało go serce.

Wstała.

– Nazwałabym to samotnością duszy. To taka pustka życia z kimś, kogo nie obchodzą twoje uczucia.

Wyciągnęła do niego dłoń.

– Proszę cię, nie żęń się z tą kobietą w Montanie. Wiem, że bardzo chcesz mieć dom i rodzinę. Ale błagam, poczekaj, aż znajdziesz kogoś, kogo pokochasz i kto pokocha ciebie.

– Kochanie... – Prawie przewrócił krzesło, by pochwycić Marcy i zamknąć ją w bezpiecznym uścisku swoich ramion. – Ty naprawdę opowiedziałaś mi całą tę historię, sprawiając sobie tyle bólu po to, żeby mnie uchronić przed popełnieniem błędu?

Kiwnęła głową.

Nigdy wcześniej nie był taki zdumiony. – Nigdy wcześniej nikogo tak nie obchodził. Nigdy.

– Ja... Ja właściwie też pomyślałem, że Lorna i ja nie mamy wspólnej przyszłości. Tak bardzo chciałem mieć rodzinę... Ale chcieć czegoś to jedno, a zrobić to dobrze, drugie.

Marcy zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Obiecuj mi, że poczekaasz, aż będzie magicznie.

– Wciąż jeszcze nie wierzę w magię – wymruczał jej do ucha. – Wierzę za to w...

Nakrył jej wargi swoimi ustami. Atmosfera w pokoju momentalnie zmieniła się ze spokojnie domowej w pełną pasji i zmysłowości. Ciepło zastąpił żar.

Całował ją coraz zachłanniej...

Prawda dotarła do Marcy nagle i boleśnie.

Zakochała się w nim.

Prawdziwie, rozpaczliwie i namiętnie.

Gdyby tylko umiała przewidzieć, że taki będzie skutek wspólnie spędzonych chwil, znalazłaby inny sposób, by dostać się do Cheyenne.

Byłoby lepiej, gdyby go nigdy nie spotkała.

Nie przekonała się, jak bardzo do siebie pasują.

Nawet gdyby musiała szukać innej pracy, to i tak byłoby łatwiejsze niż ból, który, jak sądziła, nadejdzie teraz.

Lance otoczył ją ramionami.

– Jesteś wspaniała – szepnął.

Pocałowała go w pierś i dotknęła palcami policzka.

– Nie ja. Ty.

Podnieśli się i stali teraz, obejmując się wzajemnie. Pocałował ją delikatnie i uśmiechnął się.

– Wyglądasz na szczęśliwą. Chciałbym, żeby tak było zawsze.

Nagle uświadomiła sobie, do czego zmierza.

– Lance, nie...

– Kochanie – przerwał jej – czemu nie miałybyście pojechać ze mną do Montany? Dobrze nam razem. Stworzymy rodzinę...

Poczuła ukłucie w sercu.

Gdyby tylko nie pragnęła go i nie kochała tak mocno.

Musiała go zranić, a to była ostatnia rzecz, jakiej chciała. Ale jego miejsce było na ranczu, wśród przyjaciół. A ona tam nie pasowała.

On był częścią natury... dziki i nieokiełznany... piękny i wolny. A ona... nie miała pojęcia, gdzie właściwie jest jej miejsce.

Musiała się tego dowiedzieć, zanim jej dusza umrze, tak jak się stało z jej matką.

Wysunęła się z jego objęć i zaczerpnęła tchu.

– Nie, Lance. To nie jest dobry pomysł. Patrzył na nią wzrokiem pełnym bólu i zaskoczenia.

– Nie mamy ze sobą nic wspólnego – powiedziała łagodnie. – Ta podróż jest jak sen, tak samo nierzeczywista. Nasze emocje wzięły górę, ale czego innego oczekujemy od życia.

– Marcy... zaczekaj... – Był wstrząśnięty. Cofnęła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Już i tak było jej ciężko, nie musiała jeszcze stać przed nim naga.

– Sam wiesz, że to prawda. Dalej marzę o podróżach. I byłabym nieszczęśliwa na twoim ranczu. A ty chcesz mieć dom, swoje miejsce na świecie. – Wciągnęła dzinsy, ignorując majtki i stanik. – Jesteśmy jak ogień i woda. Mieszanka piorunująca.

Zamrugnął, a potem zacisnął zęby.

– Chyba masz rację. – Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej policzku, tak jakby chciał go zapamiętać.

Szarpał nim nieznośny ból.

Pierwszy raz w życiu opuściła go pusta samotność, do tej pory towarzysząca mu wszędzie. Ale przyjemne uczucie, które pojawiło się na jej miejscu, miało, okazać się chwilowe.

Chociaż czekało go jeszcze kilka godzin w towarzystwie Marcy i Angie, padł już na niego cień tak dobrze mu znanej samotności.

Smutna Marcy zebrała swoje rzeczy i przyłożyła dłoń do piersi, tak jakby chcąc ukoić cierpienie.

Serce Lance'a krwawiło.

Nie odważył się jej dotknąć. To poprowadziłoby go znów do zakazanego raj. Naciągnął więc džinsy i za– brał się do pracy. Czekalo ich sporo wysiłku, żeby doprowadzić dom do porządku.

Z ciężkim sercem pomagał Marcy usuwać dekoracje. Kiedy nie patrzyła, wsunął do kieszeni jedną ze zrobionych przez nią gwiazdek z folii. Kiedy wróci do domu, może wypowie jeszcze jedno życzenie i znowu wyruszy na poszukiwanie swoich marzeń.

Na razie myślenie o tym za bardzo bolało.

Nie pozostało mu nic innego jak dalej robić to, co było do zrobienia. Wyniósł więc drzewko na zewnątrz, a łóżeczko dziecinne na poddasze.

Przyjechał sąsiad i wydostali samochód z zasp.

Ostatnie godziny z Marcy i Angie mijały z szybkością światła.

Przez całe popołudnie Marcy była spokojna i zamyślona. Kiedy zjedli i posprząkali w kuchni, zapytała, czy nie mogliby wyjechać w nocy.

– Angie przespałaby podróż. Może tak byłoby łatwiej dla niej... i dla nas wszystkich. – Gorzki uśmiech Marcy ranił serce Lance'a.

Zgodził się na nocną jazdę, bo teraz, gdy decyzja została już podjęta, i ich wspólny czas niemal przeminął, nie potrafiłby zostać tu dłużej i utrzymać rąk przy sobie.

Każde przypadkowe dotknięcie Marcy wywoływało w nim pragnienie przytulenia jej.

Trudno mu się też było pogodzić z rozstaniem z małą.

Po sześciu godzinach, dokładnie o zachodzie słońca, wjechali do Cheyenne. Zachodzące słońce przypomniało mu o Regule Czterech Kierunków...

Teraz znowu miał zostać sam.

Znalazł sympatyczny motel i opłacił na trzy tygodnie pokój z kuchenką.

Marcy zostawiła go, żeby się zdrzemnął, wsiadła do auta i pojechała na spotkanie z nowymi pracodawcami i po zakupy.

Szybko, zbyt szybko nadeszła chwila, kiedy obejmował je obie na pożegnanie.

Marcy płakała.

Lance uniósł jej twarz wolną ręką, pochylił się i pocałował ją z bolesną czułością. Chciał się rozkoszować tym pocałunkiem i zachować jego wspomnienie na trudne momenty w życiu.

Angie zapłakała i objęła go rączkami za szyję.

– Nie!

– Ona nie chce, żebyś odjeżdżał.

On też nie chciał.

Ale czas nadszedł. Więc podał córkę Marcy i sięgnął po wizytówkę. Poprosił, żeby w razie jakichkolwiek kłopotów skontaktowała się z nim.

Potem odwrócił się i wyszedł, pozostawiając za sobą wszystko, na czym mu kiedykolwiek zależało.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przeklął sam siebie za to, że pozwolił, żeby marzenia wzięły górę nad rzeczywistością.

Wsiadł do auta i ruszył w kierunku domu.

Otępiały i obolały psychicznie, jechał ku autostradzie międzystanowej. Czuł potrzebę gruntownego przemyślenia swojego życia.

Pogrążony W myślach, nie zwracał zbytnej uwagi na drogę. Jechał nią już wiele razy.

Dlaczego rozstanie przygnębiło go tak bardzo? Jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło. Nawet wtedy gdy wściekły byk złamał mu kopniakiem trzy zębra. Dlaczego więc... ?

Czy był egoistą?

Rozważanie tego nie było zbyt przyjemne, jednak powinien to zrobić. Jak tylko sięgnął pamięcią, kiedy tylko czegoś bardzo chciał, rezultat był zawsze taki sam.

Czyżby całkowicie zignorował to, co powiedziała mu Marcy?

Zastanowił się nad jej słowami. Nazwała to samotnością duszy.

Nie całkiem rozumiał to określenie. Chciała, żeby miał dom i rodzinę – ale z kimś innym. Dlaczego? Dlaczego nie z nią i Angie?

Nagle rozjaśniło mu się w głowie.

To jasne. Dla Marcy dom kojarzył się z czymś złym. Był miejscem, gdzie zamiast pozytywnych wibracji i przyjaznych osób spotkało ją wiele bolesnych urazów.

Głupiec z niego! Zrobił dokładnie to, przed czym próbowała go ostrzec. Zlekceważył jej uczucia.

– Marcy! – krzyknął w duchu. – Byłem kompletnym głupcem. Nie słuchałem cię.

Miała zupełną rację. Należeli do różnych światów. W tej chwili wydawało mu się, że on sam nie znajdzie nigdzie miejsca dla siebie.

Był beznadziejnym egoistą i dostał to, na co zasłużył.

Marcy przebrała Angie i pozwoliła jej raczkować po podłodze pokoju.

– Pobaw się chwilę. Mama jest w kiepskim nastroju i chyba nie będzie z niej dzisiaj dużego pożytku.

Mała siadła pupą na dywanie i wskazała paluszkami w górę.

– Ma – ma.

Niespodziewanie oczy Marcy wypełniły się łzami. Czuła ucisk w gardle i dotkliwy ból w sercu.

– Och, Angie – załkała. – Ty zaczynasz mówić... chodzić... i nie mamy nikogo, żeby się tym dzielić.

Opuściłam jedyne człowieka, któremu na tym zależało...

– Ba.

– Tak, to on dał ci Baby. – Marcy podała córeczce lalkę. –

Potrzebujesz ojca, ale przynajmniej masz lalkę. Twoja mama za bardzo się bała, żeby przyjąć od losu coś dobrego.

Marcy usiadła na krawędzi łóżka.

– O Boże, co ja zrobiłam? Tak bardzo się bałam. Za bardzo, żeby wykorzystać tę szansę.

– Ta.

Marcy spojrzała na Angie oczami pełnymi łez i uśmiechnęła się smutno.

– Tak, córeńko. On mógłby zostać twoim tatą. Chciał tego. Jestem pewna, że cię pokochał. Tylko ja... To moja wina. –

Zamknęła oczy i zatęskniła za uściskiem Lance'a, za pieśczołą jego dłoni i warg.

Ten mężczyzna ożywił jej ciało i tchnął życie w jej duszę.

Jak mogła mu odmówić? Chyba całkiem straciła zmysły.

– Chciałam, żeby on też poczuł tę baśniową magię – powiedziała do Angie – Żeby pokochał mnie tak samo mocno jak ja jego.

– Ta.

– Tak, kochanie. Ja też go chcę. Tak bardzo, że aż boli. – Pochyliła się, wzięła małą na ręce i przytuliła

– Ale nie można nikogo zmusić do miłości, nawet gdyby się bardzo chciało.

Marcy wtuliła twarz w słodko pachnące loki Angie i kołysała ją delikatnie.

– Kocham cię, maleńka, i obiecuję, że zawsze będę przy tobie. Nigdy nie –wyjdę za kogoś, kto nie pokocha nas obu i nie zrobię ci tej samej krzywdy, jaką zrobiła mi moja mama.

Angie zakwiliła, zarażona jej smutkiem.

– Ale tak bardzo go kocham – Marcy rozplakała się. Nie chciała smucić Angie, ale bycie dzielną okazało się ponad jej siły.

Przynajmniej mam Angie, pomyślała. Mamy siebie... na zawsze.

Marcy nagle uświadomiła sobie w pełni, co zrobiła. Spojrzała na córeczkę przez łzy.

– My mamy siebie, ale on jest zupełnie sam.

Przełknęła łzy. Jak mogłam być tak samolubna? pomyślała. On zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby się nami zaopiekować i sprawić nam radość. Z pewnością nie zasłużył na takie traktowanie. Zachowałam się jak prawdziwa egoistka.

Mała rozplakała się i Marcy zaczęła masować jej plecki. Ale i jej łzy popłynęły strumieniem.

– Zraniłam człowieka, którego kocham nad życie. Dlaczego nie rozumiałam tego wcześniej?

Angie oplotła jej szyję ramionami i łkała rozpaczliwie.

– Już dobrze, kochanie – Marcy próbowała uspokoić małą. – Spróbuję, chociaż nie wiem, czy mi się uda. Szkoda może być zbyt duża, ból zbyt silny. Ale kocham Lance'a wystarczająco mocno, by zaryzykować.

Lance prowadził, zupełnie nieświadomy otoczenia.

Ledwo zauważył, że słońce zaszło, a niebo poszarzało. Nadchodząca noc nie zdołała zasnuć pustki w jego sercu.

Jak mógł się od niej uwolnić?

Ranczo w Montanie już nie wydawało się tą ciepłą i przyjazną przystanią, jaką było dla niego jeszcze kilka dni wcześniej.

Nie pociągało go żadne miejsce, gdzie nie było Marcy i Angie.

Nie mógł myśleć jasno, więc dążył ku domowi. Tam była praca i ludzie, którzy na niego liczyli. Tam czekały obowiązki. Tylko to mu pozostało.

Dotychczas zawsze kiedy czuł się zagubiony, pomagały mu zasady wyniesione z indiańskiej społeczności.

To tam po raz pierwszy usłyszał o wadze rodziny.

Dla Navaho rodzina jest najważniejsza na świecie. Marzył o posiadaniu rodziny. Do tej pory jeszcze tego nie doświadczył.

Nigdy nie należał do świata babki Steele.

W poszukiwaniu swojej przynależności przyłączył się do społeczności rodeo i podróżował po całym kraju. Był przekonany, że jego miejsce jest na ranczu w Montanie u boku Stantonów. Ale teraz...

Teraz nie miał już tego przekonania. Chcąc odzyskać równowagę, zwrócił się znowu ku mądrości Navaho.

„Wschód wskazuje świt i odpowiada myśleniu. ”

Zapomniał o tym, prosząc Marcy, żeby pojechała z nim do Montany.

„Południe odpowiada wyborom”. Powinien najpierw przemyśleć swoje działania, a potem dokonać wyboru. Wzniósł oczy ku niebu. „Zachód oznacza dom. Tu się koncentruje życie Navaho, tu zbiegają się ich myśli i pragnienia. ”.

Kolej na północ. „Północ przynosi Navaho satysfakcję wynikłą z tego, co narodziło się na wschodzie”.

Według Navaho w razie niepowodzenia należy się cofnąć i przeanalizować dokonane posunięcia.

Lance nie czuł się na siłach, by patrzeć wstecz.

Pomyślał o swoim braku zdecydowania co do uczestnictwa w pogrzebie babki. Wspomnił, jak zdumiało go odkrycie, że istnieją inni, nieznani mu członkowie rodziny i spróbował uświadomić sobie swoje błędy.

Lucille Steele miała kilkoro dzieci, bratanków i siostrzeńców. To ciotki, wujowie i kuzyni, o których nigdy wcześniej nie słyszał. Nie miał pojęcia, co sądzą o posiadaniu krewnego pół krwi indiańskiej. Przeżył szok, kiedy tak nagle dowiedział się o istnieniu licznej rodziny.

Przechadzał się w zamyśleniu, aż natknął się na starą Cygankę.

A spotkanie z nią było dziwniejsze niż wszystko, co do tej pory przeżył. I czy ta niecodzienna wyprawa miała służyć tylko odnalezieniu rodziny czy jeszcze czemuś innemu?

A może Cyganka rzuciła na niego jakiś czar?

Lance zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni pierścioneł. Od niego wszystko się zaczęło.

Potał palcami aksamitne pudełeczko, spodziewając się poczuć ładunek elektryczny tak jak wtedy, gdy pokazywał pierścionek Marcy. Ale nic się nie wydarzyło.

Lance otworzył pudełeczko i jak urzeczony wpatrzył się w puste miejsce wewnątrz. Na pewno nie wyjmował pierścionka. Gdzież się więc podział?

Do diabła! Stracił już Marcy i Angie, a teraz jeszcze pierścionek?

Gwałtownym gestem przesunął dłonią po oczach.

Zapуścił motor i ruszył w kierunku domu, przysięgając przemyśleć starannie całe swoje życie, zanim zrobi kolejny niemądry ruch.

Kiedy noc zaczęła ustępować pola szarości świtu, Lance wreszcie rozejrzał się po okolicy. Ale nie bardzo mógł się zorientować.

Potem zobaczył poszarpane granie Badlands i wstrzymał oddech.

Wcale nie jechał w kierunku Montany.

Znalazł się dokładnie w punkcie, z którego wyruszył poprzedniego ranka, na ranczu Bobby'ego i Vicky.

O Boże! I kto tu mówi o potrzebie przemyślenia każdego działania.

Postąpił beznadziejnie spontanicznie, wręcz głupio. Powinien zawrócić na zachód i jechać do domu. Ale czuł się zmęczony i potrzebował odpoczynku.

Lance nie dopuszczał do siebie myśli, że odruchowo wrócił do miejsca, w którym po raz pierwszy w życiu poczuł się jak w domu. Czaiła się w zakamarkach jego umysłu, ale nie był jeszcze gotów jej przyjąć.

Ruszył oczyszczoną drogą, jeszcze kilka dni wcześniej niebezpiecznie oblodzoną. Wtedy wszystko pokrywał magiczny biały całun, teraz był to po prostu typowy zimowy widok rancza w Dakocie Południowej.

Lance zauważył dym unoszący się z komina.

Widocznie Bobby i Vicky wrócili wcześniej z wakacji na Florydzie. Miał nadzieję, że będzie mógł u nich odpocząć.

Sporo czasu upłynęło, odkąd się ostatnio widzieli.

Później, kiedy Lance był już po telefonie do Montany, drzemce i sutym obiedzie rodzinnym, wyszedł z Bobbym narąbać drewna na opał.

– Dobrze, że wpadłeś, stary – powiedział Bobby. – Zużyliście większość mojego zapasu, więc masz okazję to odpracować.

Lance uniósł masywną siekierę na długim trzonku.

– Powinienem był to zrobić przed wyjazdem, ale nie pomyślałem.

Bobby zerknął na przyjaciela.

– Ach tak? Za to teraz dla odmiany myślisz?

Teraz Lance łypnął na kumpla.

– Dlaczego wróciliście tak wcześnie? – zapytał, chcąc zmienić temat.

– Vicky i dzieciakom nie podobały się święta na Florydzie – przyznał.

– Nie było z czego ulepić bałwana. Nie widać pary oddechu w powietrzu. Nie było białego. To zupełnie co innego.

– Zgadza się. Przegapiliście jedno z najbardziej śnieżnych świąt w tej okolicy.

– Słyszeliśmy. Poza tym chyba wszyscy tęskniliśmy za domem.

Lance podniósł następny klocek.

– Wigilia był piękna. Bardzo ci jestem wdzięczny, że mogliśmy ją spędzić tutaj i szkoda, że was nie było.

Bobby objął go ramieniem.

– Źle wyglądasz. Jeżeli wszystko jest w najlepszym porządku, to dlaczego wyglądasz tak podle?

Lance nie odpowiadał i nie patrzył na przyjaciela. Zamachnął się siekierą. Pracował, wspominając, jak pięknie wyglądał dom przystrojony przez Marcy.

Kiedy tego ranka wszedł do kuchni, był bardzo rozczarowany, że jej wnętrze nie pachnie i nie wygląda tak jak wtedy.

Ale nie umiał przekazać przyjacielowi tego, co czuł, więc milczał.

Bobby skrzyżował ramiona na piersi i jeszcze przez chwilę obserwował przyjaciela.

– Marianne powiedziała Vicky, że nie odrywałeś wzroku od tej kobiety, którą tu przywiozłeś, Marcy, prawda?

Lance nachmurzył się i wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? To chyba nie jest najlepsze określenie.

– Oj, chłopie... – Bobby parsknął śmiechem –przecież widzę, że już po tobie. W końcu trafiło i na Białego Orła.

Lance znowu się nachmurzył i spojrzał krzywo na przyjaciela.

– Zamknij się, Bobby. Powinienem być teraz w Montanie. Jestem tylko trochę wybity z rytmu po tym wszystkim, więc nie wyobrażaj sobie od razu Bóg wie czego.

Bobby wyjął mu siekierę z rąk i uśmiechnął się.

– Weź kilka polan. Robi się coraz chłodniej. Lance uniósł stos polan i ruszyli ku domowi.

– Dziwne jakieś to wszystko – odezwał się. – Tak bardzo chciałem już być w domu, a jednak przyjechałem tutaj.

– Hm, a teraz czego byś chciał?

– Nie wiem. Czułem się tu jak w domu, ale teraz ... – Zerknął na przyjaciela. – Nie obraż się, ale teraz już tego nie czuję.

– No coś ty. I tak nie zamierzałem ci proponować, żebyś z nami zamieszkała.

Weszli do domu i złożyli drewno na podłodze. Bobby pochylił się, żeby je poukładać.

– Wiesz – powiedział – może to nie miejsce, ale ta kobieta sprawiła, że czułeś się tu jak w domu. Ja wiem, że jeżeli Vicky zechciałaby mieszkać na Marsie, to mój dom byłby właśnie tam. Mój dom jest tam, gdzie jest ona.

Lance zastygł w miejscu. Coś zaczęło do niego docierać.

Odetchnął i pochylił się, by pomóc Bobby'emu. Chyba popełnił ogromny błąd. Powinni o tym pogadać.

Tylko może teraz uda mu się zastosować Regułę Czterech Kierunków we właściwej kolejności.

Ból w jego sercu zelżał. Chciał sobie spokojnie przypomnieć wszystkie wydarzenia minionych dziesięciu dni, żeby niczego nie pominąć w opowiadaniu.

Wsadził ręce w kieszenie, zastanawiając się, od czego zacząć. Dotknął palcami gwiazdki z folii i nagle zrozumiał wszystko – wszystko co najważniejsze.

Porozmawiać. Zastanowić się. Dokonać wyboru. Żyć. Północ, wschód, południe i zachód. To nie miejsce było najważniejsze, tylko kierunek.

– Już niedaleko, Angie – powiedziała Marcy do córeczki.

Czuła, jak mała drży w jej ramionach, rozpięła więc parkę, mocno przytuliła dziecko do piersi i owinęła kurtką, zabezpieczając przed zimnem.

– Wszystko będzie dobrze. – Przełknęła dławiące ją łzy. – Jakoś go znajdziemy. Obiecuję. – Nie mogła się teraz rozplakać. Było tak zimno, że łzy zamarzyłyby na jej policzkach.

Znowu sypał śnieg, wielkie mokre płatki utrudniały jej marsz i przemrażały do kości.

– Pewnego dnia polubisz śnieg, maleńka. Nauczę cię lepić bałwana i zjeżdżać na sankach.

Nie mogła się oprzeć myśli, jak cudownie byłoby, gdyby to Lance mógł uczyć Angie tego wszystkiego.

Znowu poczuła łyzy pod powiekami i obtarła je grzbietem dłoni.

Padający śnieg utrudniał widoczność i Marcy pożałowała, że tak beztrosko zabrała córeczkę na dwór w podobną pogodę. Nie miała jednak czasu na zastanowienie, kiedy postanowiła zatelefonować do Lance'a, a potem sprawdzić rozkład jazdy autobusów.

W domu go jeszcze nie było.

Trochę czasu zajęło jej rozmienienie pieniędzy potrzebnych do automatu, ale w końcu miała je w ręku.

Wybrała numer z jego wizytówki, ale nikt nie odpowiadał.

Zadrzała, ale nie z zimna tylko na myśl, że błąkał się gdzieś samotny. Kiedy się zegnali, wyglądał jak zbity pies. Na to wspomnienie krajało się jej serce.

Zbliżały się do motelu.

– Jeszcze kawałeczek, Angie. Kilka kroków.

Poprzez sypiący śnieg Marcy dostrzegła w drzwiach masywną sylwetkę.

W pierwszej chwili przestraszyła się, ale zaraz jej serce załomotało radosną nadzieją. Dostrzegła nieomylny znak w postaci kowbojskiego kapelusza nasuniętego nisko na oczy.

Lance. Dzięki Bogu.

– Chciała go zawołać, ale emocje odebrały jej głos i tylko cichutko pisnęła.

To wystarczyło. Wyprostował się i odwrócił.

Tam dom twój, gdzie serce twoje. Jego serce należało do Marcy i Angie. Otworzył ramiona, by je zamknąć w mocnym uścisku.

Marcy wygrzebała z kieszeni klucz i wszyscy troje wpadli do pokoju.

Lance jeszcze przez kilka chwil trzymał je ciasno przytulone do piersi, delektując się myślą, że oto dwie najdroższe jego sercu istoty są przy nim bezpieczne.

W pokoju było ciepło i Lance pomógł Marcy wyplatać się z kurtki, sam zdjął płaszcz i kapelusz a potem niecierpliwie czekał, aż Marcy ściągnie Angie kombinezon.

W końcu mała zasnęła bezpiecznie wśród sterty poduszek i Marcy podeszła do niego.

– Ja...

Przygarnął ją mocno i pocałował delikatne jej wargi. Przyłgnęła do niego, obejmując za szyję ramionami i rozchyliła usta.

Mógłby ją tak całować przez cały dzień, w końcu jednak podniósł głowę i spojrzał w jej oszołomione oczy.

– Musiałem, no... musiałem cię najpierw pocałować.

Poczuł, że drży i nie był pewny, czy zdoła ich oboje utrzymać w pozycji stojącej. Poprowadził Marcy do małej kuchenki i posadził przy stole.

– Marcy, gdzie... – Potrząsnął głową i zaczął przemierzać małe pomieszczenie. – Nieważne, nie o tym chciałem z tobą, mówić. – Musiał wyrzucić z siebie wszystko, co go dręczyło. Inaczej eksploduje.

– Lance...

Przerwał jej gestem.

– Posłuchaj. – Teraz, kiedy miał się wywnętrzyć, poczuł obawę, czy zdoła wyrazić to, co czuł.

– Przez całe życie marzyłem o domu, o miejscu, w którym byłbym kochany. Chciałem mieć kogoś, kogo darzyłbym uczuciem, otaczał opieką, kto poznałby mnie prawdziwego. Chciałem tego tak bardzo, że w końcu wszystko mi się pomieszało. – Zaczerpnął tchu i podszedł do Angie.

Mała miała oczy zamknięte, ale chyba jeszcze nie spała.

Marcy patrzyła na niego nieruchoma. Była najpiękniejsza na świecie. Wzruszenie ścisnęło Lance'a za gardło.

– Wtedy, kiedy mówiłaś o potrzebie liczenia się z uczuciami drugiego człowieka, ja jeszcze nie rozumiałem. Sądziłem, że tęsknię za domem i rodziną. Teraz już wiem, że z całego serca pragnę kochać i być kochanym. Za tym właśnie tęskniłem.

– Och, Lance! – Chciała wstać, ale on delikatnie posadził ją z powrotem. Jeszcze nie skończył. Chciał, żeby poznała go do końca.

– Czuję, że tobie na mnie zależy, Marcy. A wy obie jesteście dla mnie całym światem. – Zaczerpnął tchu i mówił dalej, chociaż wzruszenie zamgliło mu wzrok.

– Nie chodzi o dom. Potrzebuje was obu. Nie mogę...

– Zacisnął pięści. – Nie mogę... nie chcę żyć bez was. Kończę z pracą na ranczu. Zabiorę was tam, dokąd zechcecie pojechać. Pokażę wam świat. Dam wszystko, czegokolwiek zapragniecie. Chcę być zawsze z wami.

Marcy rozplakała się, a on znowu poczuł ten szarpiący serce ból.

– Proszę, Marcy, powiedz, że za mnie wyjdiesz. Nie każ mi dążyć waszym śladem dookoła świata.

Uniósł Marcy i delikatnie obtarł płynące z jej oczu łzy.

– Jesteś moim sercem... moją duszą. Jeszcze nigdy nikogo nie kochałem, więc nie wiedziałem, jak to jest. – Ujął jej twarz w obie dłonie. – Chciałem ci dać pierścionek od Cyganki, bo jesteś pragnieniem mojego serca. Ale go zgubiłem.

Cud nad cuda. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

– Kochasz mnie? Kochasz. – To ostatnie nie było pytaniem, ale cicho wyszeptanym pragnieniem.

Odpowiedział jej tak, jak umiał, gorącym pocałunkiem, w który włożył całe serce.

– Ja też cię kocham – powiedziała, lekko skubiąc jego dolną wargę. – Kocham cię z całego serca i, z pierścionkiem czy bez, wyjdę za ciebie.

Przytulił ją bez słowa.

– Ba! – odezwała się Angie.

Marcy wzięła Lance'a za rękę i podeszli do małej.

– Proszę, kochanie. Tu jest twoja lalka. – Marcy pochyliła się i podniosła świąteczny prezent Lance'a.

Angie zanurzyła buzię we włosach lalki i to było więcej, niż mógł znieść. Porwał je obie w ramiona.

– Och, Angie. Muszę jeszcze o coś zapytać. Czy zechcesz mnie na tatę?

– Lance, popatrz – Marcy wskazała na łóżko. Tam, w miejscu gdzie przed chwilą spała Angie, leżał cygański pierścionek.

Lance zastygł ze zdumienia.

Powietrze zasnęła magiczna mgła.

Lance posadził sobie Angie na jednym ramieniu i wziął pierścionek. Wkładając go Marcy na palec, czuł, jak serce rozsadza mu radość i zdumienie.

– Cyganka powiedziała, że ten pierścionek spełni marzenie mojego serca. Od początku był przeznaczony dla ciebie. – Przytulił ją i mówił dalej:
– To on nas połączył. Dzięki tobie i Angie uwierzyłem w magię.

Westchnął i objął je mocniej.

– I przysięgam, że zawsze będę w nią wierzył i szanował wasze uczucia.

RS

EPILOG

Lampy nad Sekwaną lśniły w rześkim paryskim powietrzu, przypominając, że to już prawie Boże Narodzenie. Marcy mocniej ścisnęła rączkę Angie, która właśnie stawiała pierwsze, jeszcze niepewne kroki.

Lance podszedł bliżej i otoczył ją ramieniem.

– Nie zimno ci? Może zawołam taksówkę? Nie możemy się spóźnić na wigilijną kolację.

Zaprzeczyła ruchem głowy, uśmiechając się do ukochanego męża.

– Niech Angie potrenuje. Mamy czas i wcale nie jest zimno. – A przynajmniej nie tak jak poprzedniej zimy, pomyślała.

– Na pewno nie chcesz pojechać na tacie? – kusił małą Lance. –

– Tak! – Angie wyciągnęła do niego obie rączki. Pochylił się, okręcił ją w powietrzu i posadził sobie na ramieniu.

Angie przylgnęła do niego, śmiejąc się radośnie.

Był taki śmigły, szeroki w ramionach i przystojny w czarnym zimowym płaszczu, z włosami związanymi czarnym rzemykiem.

Mała miała na sobie nowy, czerwony aksamitny płaszczyk i białą futrzaną czapkę. Tworzyli razem uroczy obrazek, tych dwoje najdroższych jej sercu.

Uczucie Marcy rozpałało się płomieniem, kiedy widziała ich razem.

Czasem trudno jej było uwierzyć, że to śliczne dziecko i przystojny mężczyzna rzeczywiście należą do niej.

I że to wspaniałe życie naprawdę jest jej udziałem.

– Lance, moglibyśmy pojechać do domu już jutro? – zapytała.

Odwrócił się i objął ją.

– Chcesz wracać? W Boże Narodzenie?

– Nie, może rzeczywiście nie... Ale pojutrze. Patrzył na nią zdziwiony.

– Mieliliśmy spędzić tu święta, a wracając, zatrzymać się w Wenecji.

Przytuliła się do niego.

– Tęsknię za domem. Za przyjaciółmi. Za śniegiem. – Ubawiona własnym sentymentalizmem, roześmiała się promiennie. – Wiem, że łatwiej ci wyjeżdżać w święta, kiedy niewiele dzieje się na ranczu. Ale chciałabym już być w domu.

Lance zachichotał.

– Dobrze, moja podróżniczko. Zrobimy, jak zechcesz.

– Mam dla ciebie prezent i chciałam ci go dać dopiero w domu. Ale... nie mogę czekać.

Zatrzymał się i pochylił głowę, by na nią spojrzeć.

– No to słucham. Masz go w hotelu?

– Nie. – Dotknęła dłonią swojego brzucha, gestem ochraniając nowe życie. – Jest tutaj. To nasz nowy chłopiec... albo dziewczynka. Co byś wolał?

Lance patrzył na nią zaskoczony, a potem uniósł ją w ramionach i odtńczył dziki taniec radości.

– Chłopiec czy dziewczynka? Co za różnica? Następny malec! To fantastyczne!

Roześmiał się, a Angie zagadała coś po swojemu.

– Tak, jedźmy do domu – powiedział i pocałował Marcy. – Mam tylko kilka miesięcy, żeby cię rozpuścić do cna. I zamierzam zacząć natychmiast.

Marcy zalała fala ciepłych uczuć. Cudownie było mieć szczęśliwą rodzinę. Ale najlepsza ze wszystkiego była wiara w moc baśniowej magii.